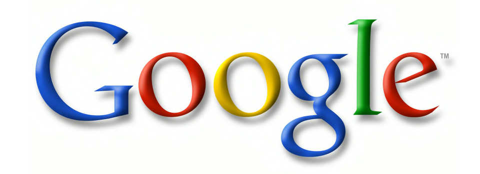


This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

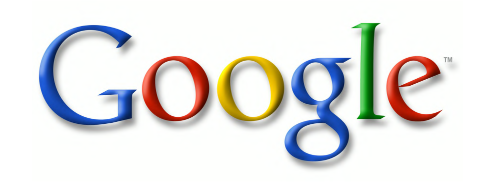
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at http://books.google.com/



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

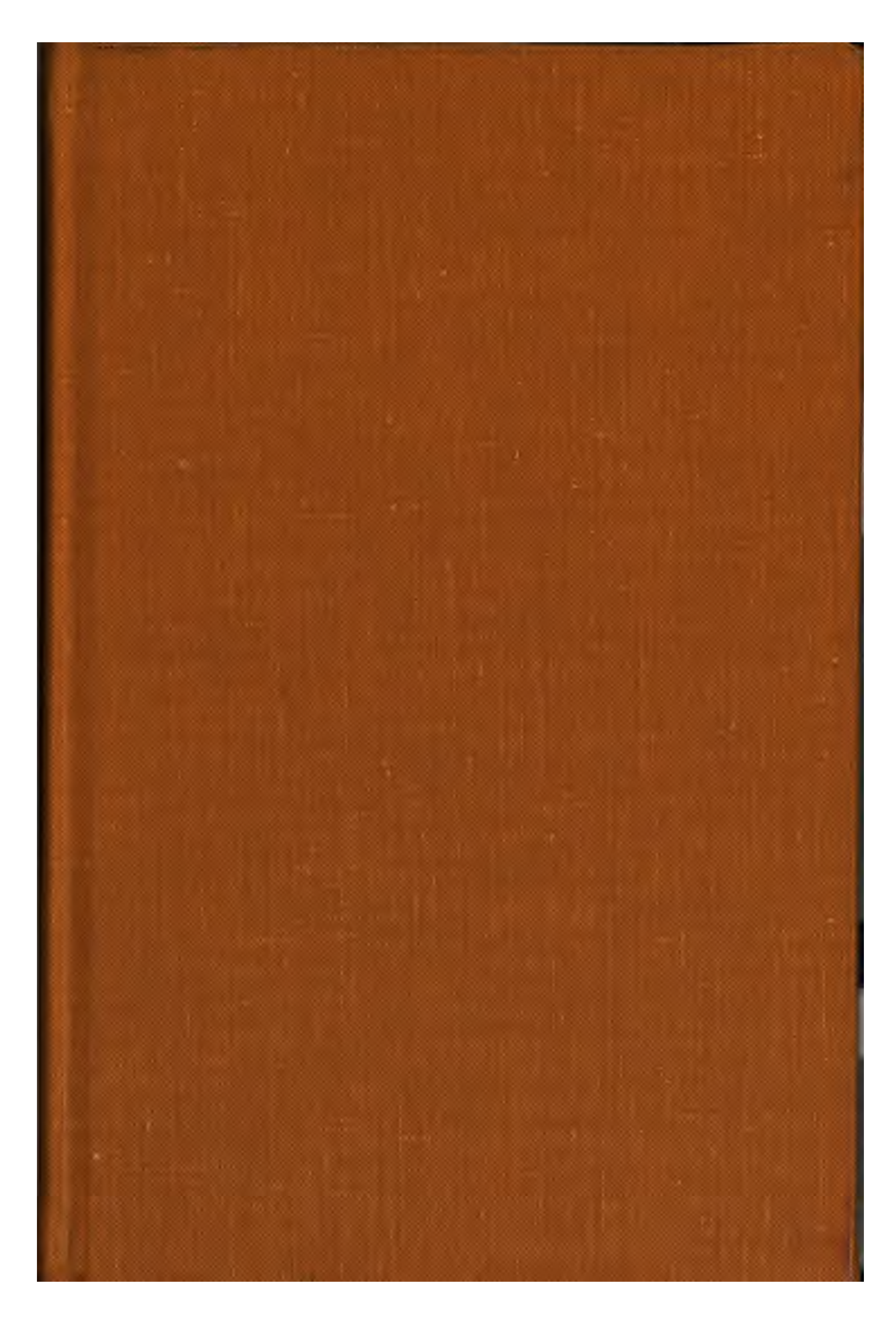
Google szczyci się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem http://books.google.com/





STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

NADESZŁY INNE CZASY

ADAM MICKIEWICZ

NADESZŁY INNE CZASY

Z PISM PROZĄ, PRZEMÓW, LISTÓW
UŁOŻYŁ: ARTUR GÓRSKI.



LWÓW 1908.
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO.
WARSZAWA: E. WENDE I SKA (T. HIŻ I A. TURKUŁ).

PG 7158
M5 A6
1908

Z DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

SPIS ROZDZIAŁÓW.

III. POLSKA TEGOCZESNA

OBJAŚNIENIA SKRÓCEŃ.

K. = Kurs literatury słowiańskiej Adama Mickiewicza.

n. p. K. IV. 8. = Kurs lit. słow. A. Mickiewicza, rok IV. lekcya 8.

L i P. = Listy i przemówienia Adama Mickiewicza. Tomów dwa. Wydane pod zbiorowym tytułem. Współudział A. Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego. Paryż 1877.

Dzieła = Zbiórowe paryskie wydanie dzieł A. Mickiewicza pod redakcyą Władysława Mickiewicza.

PRZEDMOWA.

Książka niniejsza, zarówno jak i praca moja o Adamie Mickiewiczu, równocześnie z druku wychodząca, są spłaceniem długu, wypełnieniem zaciągniętych zobowiązań wobec człowieka, któremu niejedno zawdzięczam.

Każdy, kto się o przyszłość zaniepokoił, o przyszłość narodu, do którego należeć przypadło mu, każdy obecnego pokolenia syn przeżyć musiał bolące czasy niepewności i obaw, kiedy mu w duszy odzywały się głosy, chórom Lilly Wenedy podobne.

W takich czasach pomocą stał się nie mnie jednemu Mickiewicz, już nietylko jako autor Dziadów czy Pana Tadeusza, ale jako duch królewski, cały oddany jednej myśli przeznaczenia narodu.

Zebrane tu poglądy i natchnienia poety obejmują ostatni okres jego życia, od wstąpienia na katedrę prelegenta w Paryżu, aż do śmierci. (1840—1855).

Z mów, prelekcyj, artykułów, odezw i listów z tego czasu złożyliśmy pewną całość, związaną jedną myślą przewodnią, myślą, że tak powiemy, mickiewiczowską.

Tytuł książki wzięty jest z jednej z mów poety — i tłómaczy jej treść dość wyraźnie.

Z materyału tych czasów odrzuciłem to, co nie leżało w pełnem świetle myśli Mickiewicza; a zatem polemikę ekklezyastyczną tudzież wiele z krytyki Rosyi historycznej.

Całość ma pewien ton walki, właściwy ostatniemu okresowi życia poety. Ale tak rozumiał człowiek ten, że o prawdę i z narodem własnym walczyć wolno.

Artur Górski.

I.

POLSKA HISTORYCZNA.

POLSKA HISTORYCZNA.

TWORZENIE SIĘ JEDNOŚCI PAŃSTWOWEJ W POLSCE I ROSJI: NAJAZDY I CHRZEŚCIJAŃSTWO.

W długiej i zaciętej walce (z najazdem) ludy słowiańskie wykształciły swoją narodowość, rozwinęły właściwy sobie gienjusz; przez nią weszły w poczet narodów europejskich. Środkiem teatru ogólnych dziejów Słowiańszczyzny są Karpaty. Na wierzchołku tych gór — jak powiada poeta — osiadł ptak słowiański i jednem skrzydłem uderzył po morzu Czarnem, drugiem po Baltyku. Z tamtej strony łańcucha karpackiego, na rozległych płaszczyznach swoich, ukazują się nam Rusini i Polacy; z tej, w dolinach, u podnóża Alp i Hemmus, rozmaite ludy, z pomiędzy których Czechy aż w głębi Niemiec stoją jak przednia straż posuniona ku Zachodowi.

Ruś, najbliższa plemion uralskich, najdawniej w boju z niemi, dwa wieki jęcząca pod jarzmem Mongołów, w mężnem i cierpliwem wytrwaniu gotowała przyszłą swoją wielkość. Literatura jej starożytna, jakby tknięta strasznem przeczuciem, ma już charakter poważny i smutny. Później religja staje się jedynym węzłem ludności, owładanej przez Tatarów; wszakże interes niepodle-

głości narodowej bierze górę, a władza wkrótce zagarnia cały interes. Literatura ruska owych czasów jest religijną, bardziej jednak monarchiczną. Książę przewodniczy walce, wszystko odbywa się przez niego i w imię jego: nie widać bohaterów podrzędnych. Wszelka udzielność niknie wobec wielkiego widoku przyszłej jedności i potęgi państwa. Osoba książęca zabiera w siebie wyraz całej spółczesnej epoki, a przymioty i wady panującego tyle obchodzą poetę, ile mogą mieć wpływu na los Rusi.

Inny był nieprzyjaciel, z którym Polska głównie miała do czynienia, inny cel, inne środki walki, inne też stąd następstwa. Turcy ze wszystkich pokoleń uralskich najbardziej zbliżają się do plemienia indyjsko-germańskiego. Zmieszani z pięknemi ludami w krajach podbitych, stracili pierwiastkową swą szpetność. Okazałej i szlachetnej postawy, wielkiej siły, lubo nieco miękkiego ciała, pod względem moralnym niemniej także są różni od Mongołów. Jak tamtym zupełnie obce uczucia religijne, tak ci łatwo posuwają się do fanatyzmu; jak tamtych umysł zimny, tak tych wyobraźnia żywa, lubo raczej bierna, niż działająca przez się, nic nie tworzy oryginalnie, ale przyswaja, naśladuje płody poezyi i sztuki cudzej. Mongoły nie mają żadnego poety, żadnego artysty. Jeden tylko w rzeczy sztuk należy się im wynalazek budownictwa: wieże stawione z ludzi żywych albo uciętych

główludzkich, zalewanych wapnem. Timur-Leng własnemi rękoma pomagał murarzom w tej pracy. Turcy nigdy nie byli tak okrutni; walczyli najczęściej w duchu prozelityzmu, dla rozszerzenia swojej wiary; szczęście zakładali na tem, żeby panować i używać, nie zaś niszczyć. Zapytano raz na radzie mędrców mongolskich, co jest największą roskoszą w świecie? Sam chan odpowiedział: zwyciężyć przeciwnika, w oczach jego znieważyć żonę, pomordować dzieci, i potem samego zamęczyć. Rada przyznała słuszność monarsze, bo to było pojęcie narodowe. Turczyn, także chciwy bogactw, łupieży, zaborów, nie pastwi się nad swoją zdobyczą, inaczej pojmuje roskosz. Lubi on próżniaczy spoczynek, słodkie dumanie: stan ten nazywa wyrazem niedającym się przełożyć, chyba niedokładnie — na włoskie *far niente;* wstręt, jaki ma do cudzoziemców, czyni go wzgardliwym nawet względem przyjęcia od nich rzeczy pożytecznych; kiedy Mongoły nie zaniedbywali korzystać z wynalazków cywilizacyi, znalezionych u narodów podbitych, wzięli np. artylerję od Chińczyków. Napady tureckie, mniej straszne od mongolskich, były podobno bardziej niebezpiecznemi dla niepodległości narodów zwyciężonych. P. Lenormand powiedział: że ani jeden z władców mongolskich nie miał ducha organizacyjnego; istotnie, umieli oni tylko organizować narzędzia zniszczenia. Turcy, przeciwnie, rozciągali właściwe sobie systemy, sta-

łego podboju, w swój sposób do pewnego stopnia urządzali kraje zdobyte: gdzie raz osiedli, trzymali się uporczywie, co raz zagarnęli, trudno już było im wydrzeć. Kronikarz, pospolicie znany pod nazwiskiem Janczara Polaka, przyrównywa ich do morza, które ciągle pochłania wody, ale nigdy nie oddaje; każdy wylew Mongołów prędko odpływał na swoje stepy.

Parcie potęgi tureckiej na Polskę drażniło ją ustawicznie, obudzało wszystkie jej siły, ściskało je do jednego ogniska. Stąd wyrabiało się w Polsce uczucie własnej narodowości i myśl o europejskiem jej posłannictwie. Rychło Polacy zrozumieli, że ich powołaniem jest obrona Chrześcijaństwa i cywilizacji — przeciwko islamizmowi i barbarzyństwu; zaraz musieli poznawać, mierzyć i oceniać swoje siły i środki. Owoż uczucie tych celów, tych wszystkich środków i zasobów, zawarło się w uczuciu n a r o d o w o ś c i, i wyraziło się jednem słowem O j c z y z n a. Jak tedy u Rosyan absolutyzm, tak u Polaków patryotyzm jest dogmatem rodzajnym całego duchowego i umysłowego ukształcenia; cała literatura polska wyrosła, wywinęła się i wykwitła z tego jednego słowa O j c z y z n a, jest rozmaitem stosowaniem i tłómaczeniem tej jednej idei, trudnej do wysłowienia, bo wielkiej, rozległej, niezmiernej i jeszcze niespełnionej. W różnych czasach i w różnych okolicznościach, objawiała się ona różnym duchom w różnem świetle

i w wielorakich postaciach. Natchniony kaznodzieja Skarga pojmuje i czuje Ojczyznę jako państwo p l e m i e n i a w y b r a n e g o, jako Jeruzalem z jej arką, kościołem i stolicą, z jej świętą przeszłością, której obrona i zachowanie jest życiem narodu. Nic dziwnego, że podobna idea nie była i nie mogła być wprowadzona całkiem w rzeczywistość, że nigdy stan społeczny Polski nie objął wszystkich jej warunków. Dlatego niepodobna jest określić patrjotyzmu polskiego wyrazami i zamknąć go w formule scientyficznej. To pewna, że u poetów, mowców i polityków narodowych polskich ojczyzna nie jest to miejsce, g d z i e j e s t d o b r z e *(ubi bene)*, nie jest to pewien stan pomyślności, nie jest to pewien kawał ziemi określony granicami, za któremi kończy się byt i działanie narodowe Polaka. Ojczyzna Polaków żyje i działa wszędzie, gdzie biją wierne serca jej synów. Z tego pojęcia wynikło, że prowincje, oderwane od Polski, zagarnięte pod panowanie obce, nie przestawały nigdy pod względem literackim i narodowym należeć do jej całości idealnej: miały swoich posłów na sejmie, krzesła w senacie, urzędników i sędziów w gronie władz czynnych. J e d n a Polska poszła torem Kościoła powszechnego, który dla różnych krajów świata mianuje biskupów, daje im rzeczywistą moc prawną i rozciąga swoje zwierzchnictwo moralne tam nawet, gdzie władzę doczesną utracił.

Ze strony polsko - ruskiej Karpat odznaczają się nam dwie literatury. Pierwsza ma na celu naprzód jedność narodową, potem ubóstwianą władzę, nakoniec wywarcie tej władzy na zewnątrz; drugiej siłą działającą jest patrjotyzm. Obie w ważności swojej są niezmierne, nieograniczone. Nic prawdziwszego nad słowa, które znakomity poeta wyrzekł w Izbie francuskiej: „Potęga Rosji jest cierpliwa jak czas, rozległa jak przestrzeń“. Nigdy ona nie zaznaczyła sobie kresu, gdzie się ma zatrzymać. Patrjotyzm polski także nie zna ostatecznych dla siebie granic. Nie jest to pojęcie egoistyczne i materjalna miłość ojczyzny starożytnych Greków i Rzymian, nie jest on przywiązany do kapitolu i nie potrzebuje koniecznie *forum,* nie zamyka się w żadnem uosobieniu. Tron nie gra tu głównej roli, stanowi tylko cząstkę rzeczypospolitej. Społeczność cała powołana do działania. Króla często nie widać na scenie dziejów, imiona wodzów i mężów stanu zajmują pierwsze miejsca; a niekiedy ziemie i prowincje występują, jak pojedyńcze osoby, i za odznaczenie się w boju odbierają nagrody: tak niegdyś jedno województwo otrzymało szczególny przywilej pieczętowania swoich aktów lakiem czerwonym. Siła ta moralna, nie mająca widomego środka, a ruszająca wielką i rozmaitą społeczność, zdaje się wymykać wymysłom, wedle obecnego porządku rzeczy praktycznym. Inny deputowany francuski mó-

wił: Sprawa Polski nastręcza tę największą trudność, że nie jest przywiązaną do miejsca, nie daje się ująć *(qu'elle n'est pas locale, qu'elle est quelque chose d'insaisissable)*. I monarcha rosyjski, ogłaszając gniew swój przeciw Polsce, powiedział: „Polacy poświęcają rzeczywistość dla urojeń“. Miał on słuszność, jeżeli, jak to dziś bywa, nazwiemy urojeniem wszelką ideę, która jeszcze niema władzy na ziemi i jeszcze dąży ku rzeczywistości. *(Kurs literatury słowiańskiej. Rok I. lekcya 3)*.

CHRZEŚĆJAŃSTWO JAKO SIŁA ORGANIZACYJNA.

Mało dotychczas zgłębiano wpływ chrześćjaństwa na stan domowy, społeczny i polityczny Słowiańszczyzny; on to jednak wykończył organizację jej krajów i zapewnił ich niepodległość.

Chrześćjańskie zawiązanie rodziny przez sakrament małżeństwa, było już niezmierną reformą Słowian, podniosło ich na szczebel ludów zachodnich. Bez wpływu chrystjanizmu, władza i jedność wewnętrzna państw nigdyby może u nich powstać nie zdołała. Książęta Rusi i królowie polscy dopiero wtenczas stali się prawdziwymi reprezentantami narodowości, kiedy poczęli być namaszczani pierwsi przez biskupów Kościoła wschodniego, a drudzy przez papieżów.

Chrystjanizmowi jeszcze należy się tutaj ży-

cie publiczne, artystowskie i moralne. Z szerzeniem się religji chrześćjańskiej, ściskał się węzeł, łączący wszystkich Słowian. Dzwon, zawieszony na wieży kościelnej, był pierwszym sygnałem ich spójni; głos jego, rozlegając się po wszystkich krajach, pierwszy raz im oznajmił, że są członkami wielkiego społeczeństwa. Później ten dzwon służył za organ polityczny, zwoływał Słowian na wiece, na obrady, stał się godłem ich niepodległości. Ściany kościołów są pierwszą budową kamienną w Słowiańszczyźnie i jedynem arcydziełem architektury. Ustanowienie świąt, w dni niektóre, przynajmniej, odrywając lud od pracy, od samych zatrudnień materjalnych, znaglało wśród rozmyślań i zabaw żyć moralnie. Nakoniec religijne nauczanie po kościołach i szkoły, zakładane przez duchownych, sprawiły prawdziwą rewolucję w Słowiańszczyźnie, która przedtem nie znała publicznej oświaty.

Wszystkie te chrześćjańskie zaprowadzenia rodziny, parafji, jedności politycznej państw, świąt, kazalnic i szkół dokonały reformę socjalną Słowiańszczyzny. Stała się ona odtąd społeczeństwem europejskiem, weszła w ligę z ludami Zachodu. *(K. I. 11).*

KOŚCIÓŁ WSCHODNI I ZACHODNI.

Ze schyzmy wynikły ważne skutki dla Kościoła wschodniego. Dotychczas polegał on na soborach, odrzuciwszy zaś tę podstawę, nie miał innej prócz rządu; zdał się więc na łaskę jego i nie mógł stawić mu czoła. Od tego czasu ustały roztrząsania i synody, lękano się bowiem, żeby nie wynikła z nich jaka różnica opinji, w której nie można już było odwołać się do trybunału najwyższego. Dalej przez logiczną konieczność rząd musiał zabronić kazań, ponieważ mając zwierzchnictwo nad Kościołem swoim, nie znajdował sposobu kontrolowania doktryn, ogłaszanych przez duchowieństwo, i uważał za rzecz prostszą znieść ambony. Tak tedy, zamiast tej nieograniczonej wolności, jaką spodziewano się otrzymać przez wyłamanie się z pod władzy stolicy apostolskiej Kościół wschodni stracił zupełnie swobodę, i oniemiał.

W takim stanie rzeczy Ruś przyjęła religję wyznania greckiego. Niezmierna różnica między duchowieństwem wschodniem a zachodniem odbiła się na ukształceniu i literaturze krajów północnych Słowiańszczyzny. Biskupi Wschodu byli to ludzie bardzo pobożni, oddani naukom, ale usunięci od wpływu na ruch socjalny i polityczny. Znajdowali się oni w położeniu podobnem, jak dzisiaj hierarchja katolicka; uważano ich za

część administracji, za urzędników państwa. Przeciwnie, jak wiadomo, biskupi Kościoła zachodniego wiedli życie praktyczne, wydawali dzieła, pisali prawa, należeli do interesów publicznych, a nawet i wojowali. Widziano ich w radzie królewskiej, na czele zjazdów prowincjonalnych, w parlamentach, w trybunałach, słowem wszędzie. Była to klasa najczynniejsza w wiekach średnich. Klasztory, które tak wielką rolę grają w krajach giermańskich i romańskich, prawie nie dają się dostrzedz na ziemiach obrządku greckiego. Kościół wschodni miał tylko jeden zakon św. Bazylego, gdzie znajdowali przytułek chcący poświęcać się nauce i rozmyślaniu, kiedy w Kościele zachodnim tworzyły się reguły stosownie do wszystkich potrzeb czasu, powstawały później zakony rycerskie, z których jeden zmienił postać stron nadbaltyckich i założył fundamenty królestwa pruskiego.

Swobody narodowe katolickich państw słowiańskich płynęły z instytucji kościelnych. Król polski, który zabił biskupa, utracił koronę, i odtąd biskupi zaczęli być w Polsce uważani za nietykalnych. Panowie świeccy, którzy obok nich zasiadali w senacie i na zjazdach, stali się uczestnikami prerogatyw im służących. Nic podobnego nie działo się na Rusi. Co w niej pozostawało z dawnej wolności, zamknęło się w miastach i wyjść stamtąd już nie mogło; wolność zaś Polaków, rozwijając się naprzód w kole rady kró-

lewskiej, później w sejmowem, zabrała nareszcie głos przemożny. Znaczenie osobiste duchownych w tych dwóch krajach było też wcale różne. Mimo karności ściślejszej i surowości obyczajów częstokroć wyższej, duchowieństwo ruskie doświadczało zawsze od narodu i panujących obejścia się przykrego. W Polsce niemasz podobnego przykładu wzgardy i grubijaństwa względem kapłanów katolickich. Jeśli pisarze i poeci polscy okazują czasem nienawiść ku księżom, nienawiść ta nawet jest połączona z niejakiem uszanowaniem.

Dla tej samej przyczyny, dla jakiej w cesarstwie wschodniem odjęto Kościołowi greckiemu wolność kazania i nauczania, kniaziowie ruscy zabronili później duchownym spisywać dzieje krajowe. Długo duchowni byli tu jedynie ludźmi piśmiennymi i zajmowali się kronikarstwem, wciągali w swoje roczniki zdarzenia współczesne albo dawniejsze, co gdy dawało powód do sądzenia rzeczy wedle zdań osobistych, musiało stać się w oczach rządu samowładnego przeciwnem i niebezpiecznem.

Wyobrażenie jedności, na pozór tak proste, a tworzące się z wielkim trudem, Polska winna Kościołowi. Kościół, koronując monarchę polskiego, postawił już w jego osobie pojęcie państwa. Król, wprowadzony do rodziny książąt chrześćjańskich, ujrzał się reprezentantem kraju, począł rozumieć jego całość. Pojęcie to później

w czasie podziałów, zachowali i utrzymali biskupi, nie przestając zgromadzać się i składać synodów. Pośród zatargów między książętami, pośród kłótni i bojów, prałaci i panowie świeccy, wojewodowie, kasztelani i inni możni, zjeżdżali się ciągle i samych książąt nawet przywodzili do zwoływania synodów. Synody te stanowiły moralną reprezentację Polski, pozbawionej reprezentacji rządowej, zawsze jednak w oczach świata, mającej swoją osobistość udzielną. Tak biskupi Pomorza, po oderwaniu się książąt pomorskich, nigdy nie zaniedbywali prymasa Polski, radzącego o jej sprawach publicznych; tak później biskupi śląscy i nawet wielu prowincji pruskich zasiadali bez przerwy w radzie, której prezydował arcybiskup Gnieźnieński. Tym sposobem powstało i utrwaliło się wyobrażenie państwa polskiego.

Na tych synodach pisano także prawa. Organiczne prawa ruskie zajmują się tylko oznaczeniem zawisłości niewolnika od jego pana, pana od księcia; prawa polskie urządzają stosunki stanów w narodzie, są prawami politycznemi. Rusini mieli tylko jedno prawodawstwo cywilne i kryminalne, Polacy posiadali już wówczas prawodawstwo polityczne. Synod opiekował się włościanami, zabraniał dworzanom, to jest sługom książęcym wybierać samowolnie podatki lub daniny jakiegobądź rodzaju i ustanowił sądownictwo regularne, a każda z tych ustaw

kończy się formułą religijną: „ktokolwiek zgwałci to prawo, niech będzie przeklęty“. Prawa te były dla całej Polski, uważano je nawet za obowiązujące niepodległych książąt Pomorza, później książąt śląskich i naostatek wszystką szlachtę Rusi Czerwonej, która coraz bardziej spajała się z Polską.

Władza sądownicza w Rusi przeszła od gmin do rąk rządców, mianowanych przez książąt; w Polsce zaś utrzymywała się zawsze przy zjazdach stanu rycerskiego, które roztrząsały sprawy tak kryminalne, jak cywilne; urzędnik prezydujący na zjeździe, przewodniczył mu tylko, nie miał nawet głosu stanowczego.

Wszystko tedy w Polsce dąży do wolności, w Rusi do jedynowładztwa. Z dwóch stron różne niebezpieczeństwa grożą tym państwom. Ruś chyli się ku despotyzmowi, Polska ku anarchji. *(K. I. 12).*

SYSTEM JAGIELLOŃSKI WEDŁUG DŁUGOSZA.

Dzieła Długosza tworzą cały osobny system moralny i polityczny, który możnaby nazwać systemem Jagiellońskim, bo wszyscy późniejsi pisarze historyczni pod Jagiellonami, przyjmują i rozwijają jego myśli. Chcąc ten system najkrócej wyrazić dosyć jest powiedzieć, że wytacza się cały z jednej idei moralnej, albo lepiej mó-

wiąc, chrześćjańskiej. Wedle Długosza, istotna siła leży tylko w prawdzie, a przez prawdę rozumieją się tutaj zasady ewangielji, jak je Kościół przyjął i stosował natenczas. Prawda ta używa czasem za narzędzie namiętności i widoków ludzkich, ale prawie zawsze tak, że ludzie sami o tem nie wiedzą. Stąd to wynika, że najczęściej siła prawdziwa, rzeczywista, płodna, zbija interesy i siły ziemskie, pozorne. Zaraz wyłożymy to jaśniej. Zdaniem historyka Jagiellońskiego, żadna przezorność nie jest zdolną przewidzieć pochodu zdarzeń, czyli pochodu prawdy. Przekonany o tem głęboko, nie wdaje się w opisywanie bitew i układów, bo dla niego wygrana nie zależy od talentów wodza i od waleczności żołnierzy. Powiada to nawet słowami, wziętemi z Ksiąg Mądrości. Wypadek płodny wielkiej jakiej sprawy, podług niego wynika z tajemnego źródła, to jest z moralnej wartości tej sprawy. Jeżeli zdarza się Polakom ponieść klęskę w boju, Długosz, zamiast sądzenia rozkazów wodza i obrotów każdego oddziału, dopytuje się naprzód, jak wojsko sprawowało się w marszu, czy nie ciemiężyło kraju, czy było posłuszne naczelnikom, czy zachowywało wszystko, co Kościół przepisuje, i tym sposobem dochodzi przyczyn złych lub dobrych powodzeń w wojnie. Nie masz potrzeby mówić, że w polityce trzyma się tegoż samego prawidła. Widzieliśmy to już w przykładzie, kiedy chodziło o negocjowanie

z Prusami. Cieszy się nawet bardzo, jeżeli poda się mu zręczność dowiedzenia, jak historyczny bieg rzeczy wywraca ludzkie rachuby i domysły. Jego zdaniem, Prusy dlatego zostały oddane Polsce, że dawniej i prawnie należały do ciała narodu polskiego. Opatrzność była sędzią; chociaż adwokaci bredzili, uznała słuszność sprawy polskiej. „Prusy zostały wam oddane — powiada — na przekór waszym błędom, na przekór nawet waszym nikczemnościom". *(K. I. 27).*

DŁUGOSZ O POLAKACH, KARAMZIN O ROSJANACH.

Mimo miłość ojczyzny i narodu swego, nie waha się Długosz wytykać wad w ustawach ówczesnych, a nadewszystko wyrzucać szlachcie na oczy jej burzliwość, płochość i dumę. Oto jak kreśli charakter narodowy, z doskonałą jego znajomością:

„Każdy naród ma swoje przymioty i wady, które możnaby nazwać narodowemi. Polacy szczególniej skłonni są do zazdrości, wyszydzań i ogadywania. Czy te przywary dostały się im w spadku po przodkach, czy jest coś niedocieczonego w ziemi, w powietrzu, w działaniu gwiazd i ostrości klimatu, co ich tak usposabia; czy nareszcie może dlatego radzi uwłaczają rzeczywistym zaletom, żeby blask rodu albo mienia postawić

z niemi na równi, to pewna wszakże, że umysły ich są zawistniejsze niż wszelkie inne. Zdaniem niektórych pisarzy, protoplastą Polaków i wszystkich Słowian był Cham, a przekleństwo ojcowskie, jakie ściągnął na się, śmiejąc się z ojca swojego, Noego, dotknęło całe jego plemię".

Później dodaje: „Naród nasz mało wydał ludzi wyższego geniuszu, a i tych nie umiał cenić".

Dalej tak opisuje zosobna charakter szlachty i włościan.

„Szlachta polska goni nadewszystko za sławą i bogactwem; pochopna do łupieży, nie dba o niebezpieczeństwa i śmierć; obiecywać skora, niemniej łatwo zapomina przyrzeczeń; zazdrośna względem równych, uciążliwa dla niższych i poddanych; szumna w mowie, rozrzutna w wydatkach, szafuje nad możność, królom swoim wierna, dla cudzoziemców niezmiernie uprzejma, najgościnniejsza ze wszystkich narodów chrześćjańskich".

„Włościanie mają wielki pociąg do pijaństwa, kłótni i ubijatyk, tak, iż rzadko w którym narodzie jest tyle zabójstw domowych; w pracach i trudach wytrwali, cierpliwie znoszą głód i zimno; o swoje mało dbają, na cudze chciwi, wierzą w baśnie i zabobony; bardzo gościnni, odważni aż do zuchwalstwa, chytrego umysłu, nie łatwo dają się oszukać; lubią nowość, noszą

się porządnie; postać ich piękna, wzrost wysoki, budowa ciała silna, cera biała albo śniadawa.

W innem miejscu, ubolewając nad zepsuciem swojego wieku, powiada:

„Temi czasy zmieniło się u nas wszystko. Czy to z przyczyny długich i nieustannych wojen, czy z jakiegoś dopuszczenia Bożego zepsucie rozszerzyło się powszechnie. Zniewieściałość doszła do tego stopnia, że Polacy poczęli podstrzygać krótko i trefić włosy, nosić na głowie ubiorki nieprzyzwoite, stroić piersi we wstążki, co dawniej nawet i kobietom nie uchodziło... Zdaje się, że wylew złego wszelkie już zapory zerwał. Są tacy, co zmarnotrawiwszy swoje dostatki, puszczają się na oszustwa i grabież; wielu innych krnąbrnie depce Boskie i ludzkie prawa, a nic nigdy nie uczyniwszy, przechwala się ciągle ze swojem bohaterstwem... Chce się im zawsze poprawiać nie samych siebie, ale swoich przełożonych... Rozprawiacze ci, pełni słów nadętych, prawdziwie wyglądają na bohaterów teatralnych... I nie mówię tu o nikim w szczególności, wada to narodowa. Jesteśmy lekkomyślni i próżni, obracamy w śmiech duchowne i świeckie ustawy, nie strwożeni pogróżkami Pisma, sercem zamkniętym na przestrogi i dary Boga, nie dbali o żywot przyszły, pędzimy dni, jak gdybyśmy wiecznie żyć mieli, własnym naszym lub zauszników naszych sądem oślepieni, za najlepszych siebie mając, nie pamiętamy, że

na nas samych lub potomków chłostę ściągnąć musimy... Zaiste taki stan rzeczy, przeciwny Bogu i ludziom, skończy się kiedyś okropnie... Jeśli wielu dziś nie oglądając się na ostateczny rachunek, bez niepokoju dni i nocy trawi na uciechach, to zdaniem mojem stąd pochodzi, że Opatrzność wstrzymuje nad nim karę, gotując nam podobno los gorszy niżeli winowajców, bo potępieńców".

...To wszystko jakkolwiek smutne, jest niczem w porównaniu z tem, co się natenczas działo w Moskwie. Zobaczymy, naprzykład, jakie tam były obyczaje książąt, szlachty i ludu. Oto, co mówi historjograf cesarstwa, Karamzin, wedle latopisców współczesnych Długosza.

„Oprócz niezgód domowych, cechą panowania Wasila ślepego są rozliczne zbrodnie, dowodzące ówczesnej surowości obyczajów. Dwaj książęta byli oślepieni, dwaj otruci. Nietylko gmin w swej zawziętości bez sądu topił i palił ludzi obwinionych o występki, nietylko Rosjanie sposobem szkaradnym dręczyli jeńców wojennych, ale same nawet kary, wprowadzone do ustaw, trącą barbarzyństwem okrutnem... Moskwa po raz trzeci dopiero ujrzała tak zwaną przedajną karę śmierci, szlachetnym przodkom naszym nieznaną. Odtąd poczęto nawet ludzi możnych o zbrodnie stanu oskarżonych publicznie chłostać knutem. Ten poniżający człowieczeństwo zwyczaj winniśmy Mongołom... Sami

kupcy, łotry i urwisze mongolscy obchodzili się z nami, jak ze służebnikami, godnymi pogardy. Było to skutkiem moralnego upodlenia ludzi; straciwszy godność narodową, wyuczyliśmy się nikczemnych przebiegów niewolnictwa, które u niedołężnych miejsce siły zastępują: oszukując Tatarów, nabraliśmy nałogu oszukiwania jedni drugich... Chciwość pieniędzy zrodziła bezczelność... Czucie ucisku, bojaźń, nienawiść, władając duszami, rodzą obyczaje ponure i srogie. Okoliczności zawsze tłumaczą nam usposobienie narodu, a skutek częstokroć trwa dłużej, niżeli przyczyna... Być może tedy, że dzisiejszy nawet charakter Rosjan okazuje niektóre cechy, jakiemi go barbarzyństwo Mongołów napiętnowało".

Nic nie masz bardziej poniżonego nad język używany podówczas w stosunkach publicznych książąt moskiewskich z Mongołami. Weźmy, naprzykład, mowę, jaką miał jeden posłannik do hordy, starający się o tytuł wielkiego księcia dla swojego pana, którego współzawodnik żądał tegoż tytułu na mocy dawnych praw i zwyczajów krajowych, przez samychże Mongołów zaprzysiężonych. Agent ten tak się odzywa do chana, siedzącego na czele swojej rady:

„Królu najwyższy! błagam cię, abyś pozwolił mi, nędznemu niewolnikowi twojemu, przemówić za moim księciem. Jerzy chce otrzymać wielkie księstwo na mocy starożytnych praw

rosyjskich, pan mój żąda je mieć tylko z twojej łaski, wiedząc, że wielkie księstwo jest twoim ułusem, i że możesz dać je temu, komu ci się podoba. Tamten dopomina się, ten prosi. Co znaczą kroniki i obumarłe przywileje, gdzie wszystko od woli króla zależy? Czyliż nie ta wola zatwierdziła testament Wasila Dymitrowicza, który księstwo moskiewskie synowi przekazał? Wasil Wasilewicz lat sześć na tronie: nie zrzuciłeś go, królu, a więc sam go prawym monarchą uczyniłeś".

Cokolwiekbądź, jak z jednej strony był w szlachcie polskiej, duch wspaniałomyślności, rycerskiej odwagi i zamiłowania swobód, który obiecywał rzeczypospolitej świetną przyszłość; tak z drugiej strony nie można Rosjanom odmówić rezygnacji patrjotycznej, która częstokroć dokazuje wiele. Książęta moskiewscy, wzywani od chanów, żeby stawili się przed nimi, mogli łatwo unikać niebezpieczeństwa, opuszczając swój kraj, woleli wszakże narażać się na nie. Kiedy rozkaz chański przychodził do Moskwy, wielki książę robił testament, żegnał się z rodziną, wyjeżdżał z miasta przy żałobnym odgłosie dzwonów, przeprowadzany, jak na śmierć, bo nieraz chanowie po to tylko przywoływali wielkich książąt, żeby ich kazać w swoich oczach tracić. Książę Michał Twerski, po zapadłym już nań wyroku, miał jeszcze sposób do ucieczki, ale nie chciał z niego korzystać; powiadał, że nie uniósłby

z sobą kraju, że, ocalając swoją głowę, tysiące głów chrześćjańskich wystawiłby na zemstę tatarską, że powinnością jego było za poddanych swoich dać gardło. *(K. I. 26).*

TWÓRCZOŚĆ INDYWIDUALNA
W POLSCE I JEJ PRZYCZYNY.

Współcześni Zygmunta Starego, tak Polacy, jak cudzoziemcy, zdumiewają się nad ogromną liczbą mężów wielkiego umysłu, którzy uświetnili jego panowanie. Mówiliśmy wyżej, że uprzedzili oni w pojęciach Bakona, odkryli w umiejętnościach fizycznych nowe drogi, wpadli na wynalazki niezmiernej wagi. Ale co bardziej jeszcze zadziwiało to, że ci ludzie gienjalni, zabłysnąwszy na chwilę, nikną prawie bez śladu po sobie. Ledwo w kronikach można powziąć jakiś słych o ich życiu i pracach. Owoce tych prac, po większej części, są tylko dorywczemi schwyceniami myśli i postrzeżeń; prawdy dają się w nich zgadywać, ale nie widzieć; wszędzie uderza niedostatek ciągu, metody, wyjąwszy może jedynie zupełne systemy Vitelliona i Kopernika. Wszakże i te systemy nie znalazły między Polakami uczonych, zdolnych je zrozumieć i wyłożyć: Kopernik w Rzymie dopiero został pojęty i broniony scientyficznie. Jeśli Polacy ujmowali się za niego, to tylko, że śmiałość jego zdań przypadała im

do smaku, bynajmniej zaś nie umieli z nich cokolwiek wyciągnąć. Podobnież działo się i w Czechach. Tycho-Brahe i Kepler, długo żyjąc w Pradze, gdzie zostawili obserwatorjum, narzędzia i szacowne zbiory postrzeżeń, nie zdołali ani jednego ucznia wychować. Powiedziałby kto, że ziemia słowiańska zjałowiała nagle, i bujne nasiona jej własne lub obce musiały na niej niszczeć i przepadać.

Cóż jednak za przyczyna mogła sprawiać ten rozbrat gienjuszów z narodem, to ich odskakiwanie daleko za obręb ojczysty? Oto zdaje się, niezbędnym warunkiem powodzenia w umiejętnościach, jest możność ich zastosowania. Kiedy uczony zostawia po sobie katedrę, gdzie jego nauka znajduje wykład, kiedy wynalazca tworzy machinę działającą, systemy i odkrycia ich mają żywą tradycję, przechodząc w spadku na potomnych, dają powód do nowych pomysłów i wniosków. Ale możność zastosowania nie zależy od pojedyńczego człowieka; potrzeba na to monarchy, korporacji, szkoły, słowem kogoś, coby posiadał zbiorowe siły i środki, coby widział w tem jakiś interes bądź rządowy, bądź przemysłowy. Tym porządkiem umiejętności podnosiły się wszędy.

W Niemczech, cesarze gruntując swoją władzę na prawach rzymskich, usilnie wspierali prawoznawstwo. We Włoszech, Kościół i niektóre rzeczypospolite opiekowały się bardzo nauką

prawa kanonicznego. We Francji, królowie, zdobywając się szczególniej na porządną siłę zbrojną dla skruszenia feudalizmu, zachęcali wszelkiemi sposobami umiejętności wojskowe. W krajach słowiańskich, przynajmniej w dwóch głównych państwach, stykających się z Zachodem, władza nie miała żadnej z tych pobudek do pielęgnowania umiejętności i nauk. W Czechach, gdzie szło głównie, żeby osłabić i utrzymać na wodzy stronnictwa, jakiż interes, naprzykład, mogli mieć panujący w doskonaleniu wojennego systemu Żiżki, który z chłopami, uzbrojonymi w cepy i pałki, umiał odnosić cudowne zwycięstwa? Na co tam mogła przydać się nauka prawa, gdzie królowie starali się tylko złamać feudalność i odepchnąć różne widoki stronnictw, nie troszcząc się cokolwiek natomiast podstawić? Kto tam wśród zatargów religijnych chciał myśleć o szkołach lub obserwatorjach astronomicznych? W Polsce królowie trzymali jeszcze niby ster rządu, ale władza rzeczywista była już przy szlachcie: gmin szlachecki, gmin właścicieli ziemi opanował Polskę. I cóż ten nowy pan mógł mieć na celu? Oto, jak każda władza, biorąca początek z opozycji, musiał ograniczyć się do zbijania wszystkiego. Odpierał powagę królewską, ścieśniał moc Kościoła, kładł zaporę między sobą, a stanami niższemi. Odrzucając zawsze księgę ustaw, przygotowaną dla całego kraju, widząc w niej niebezpieczeństwo dla siebie,

nie sprzyjał nauce prawa; sam składając armję narodową, znając, że zaprowadzenie regularnej organizacji wojska, wzmocniłoby tron, i posłużyłoby na rękę szlachcie możniejszej, nie chciał słyszeć o umiejętnościach militarnych tak dalece, że zaginęły nieodżałowane dzieła o wojnie, pisane przez taktyków największych może natenczas w całej Europie, przez owych wodzów co odnosili zwycięstwa pod Obertynem i Orszą. W Moskwie wszakże, reprezentującej w owej epoce większą część Rusi, szły rzeczy inaczej. Umysłowość narodu obumarła tam zupełnie, nie zjawiał się żaden miejscowy wynalazca i twórca w umiejętności lub sztuce, ale rząd skwapliwie posługiwał się cudzym rozumem, korzystał z każdego środka, wzmagającego siłę materjalną, wznosił twierdze podług najdoskonalszych wówczas zasad fortyfikacji, organizował wojsko regularne. Wielcy książęta moskiewscy, podobnie jak niegdyś Dżengis-Chan, Baty, Oktaj, garną do siebie i szanują architektów, lekarzy, rzemieślników, najbardziej zaś szukających po świecie szczęścia znawców sztuki wojennej, którzy ofiarują się im na instruktorów. *(K. I. 30).*

IWAN GROŹNY.

Widzimy potrzebę tutaj opowiedzieć szczegółowiej panowanie Iwana IV.; on bowiem sku-

pił w samym sobie całe jestestwo państwa moskiewskiego, i historja, chcąc wyłożyć stan tego kraju, musi przypatrywać się pilnie stanowi wewnętrznemu samowładzcy. Jego myśli, jego drgnięcia, jego skinienia stanowiły o losie wielu pokoleń, on sam jeden nadawał kierunek prawodawstwu i obrotom wojennym; cokolwiek historycznego zaszło w Moskwie, to nie wyrobiło się ani w senacie, ani w żadnej radzie wielkiego księcia, ale w głębi jego ducha.

Iwan, powodując się jeszcze radami świętobliwego spowiednika swego i sławnego Adaszewa, rozprzestrzenił był granice moskiewskie podbojem carstw Kazania i Astrachanu. Są wzmianki, że właśnie w tym czasie, kiedy Kazań zdobyty został, poczęły objawiać się w słowach i postępkach wielkiego księcia pierwsze znaki przerażającej zmiany, jaka zachodziła w jego duszy. Gdy dostojnicy i bojarowie przyszli mu winszować tak korzystnej i świetnej zdobyczy, zamyślił się nagle, i poglądając ponuro, przemówił zcicha, jakby sam do siebie: „Nie boję się już bojarów, obejdę się bez nich".

Zmiana ta wszakże głównie datuje się od obłożnej choroby jego, którą miano za śmiertelną. Leżąc słaby i bezwładny miał porę poznać usposobienia bojarów, schwycił na gorącym uczynku złą stronę natury ludzkiej. Ci ludzie, którzy nie umieli znaleźć wyrazów na oddanie swojej czci i miłości ku niemu, którzy go na-

zywali Zbawicielem Rusi, Duchem Świętym wcielonym, widząc się teraz blizkim zgonu, zapomnieli o jego małem dziecku, a miarkowali komu z krewnych uwięzionych, albo trzymanych pod dozorem rządu, tron dostaćby się powinien. Podobno nawet spowiednik i faworyt księcia, lękając się zamieszek, jakie długa małoletność jego następcy mogłaby sprawić, skłaniali się ku jednemu z pretendentów. Wielki książę wezwawszy do siebie bojarów dawniej tak podskakujących i kornych, nie mógł na łożu boleści uprosić, ubłagać, żeby jego syna obwołali panem Moskwy. Wkrótce, z wielkiem podziwieniem wszystkich, ozdrowiał i powstał.

Nie zaraz wszakże rozjątrzone jego uczucia wyszły na wierzch. Zawsze wyrachowany i chytry, umiał je kryć i powściągać. Zdawało się, że zgoła nie pamiętał, co widział i słyszał w ciągu swojej choroby. Rozdawał jałmużny, obsypywał dworzan nowemi łaskami, obchodził się uprzejmie ze starszyzną. Czasami tylko słówko, wymówione przypadkiem, wzmianka, wtrącona, jakby od niechcenia, mogły dać poznać, że nie zapomniał najmniejszej okoliczności, że wiedział każdego po imieniu, kto się sprzeciwiał jego woli. Pomału zaczął usuwać się od zgiełku dworskiego, żyć coraz bardziej samotnie. Pierwsze oznaki jego niechęci okazały się w cierpkości, z jaką odrzucał już zdania swego spowiednika i ulubieńca. Postrzegli oni niezadługo, że nie

mieli już po co bawić na dworze. Mnich wrócił do klasztoru, Adaszew otrzymał odległe od stolicy gubernatorstwo.

Oddalenie się tych dwóch cnotliwych ludzi, było hasłem nowego porządku rzeczy. Zawiść i potwarz poruszyły się z kątów przeciw nieobecnym; intryganci, pochlebcy opadli wielkiego księcia, przekładając mu, jak sromotnej ulegał kurateli. „Jak mogłeś, Najjaśniejszy Panie — mówiono mu — znosić tak ciężką niewolę? Oni nie pozwalali ci nawet wina, wzbraniali cieszyć się pięknością Moskiewek".

Pałac książęcy przybrał natychmiast inną postać. Lud moskiewski zawsze z trwogą i czcią zbliżał się do siedliska swoich władzców, ale nigdy Kremlin nie wzbudzał w nim tyle poszanowania, jak podczas kilkunastu lat bogobojnego życia Iwana. Widząc tu ciągle schodzących się pobożnych kapłanów, poważnych urzędników, zgodę i szczęście domowe w rodzinie monarszej, miejsce to uważano prawie za święte, bito pokłony na progu pałacowym. Teraz działo się wcale inaczej. Dwór napełnił się stekiem śmieszków, błaznów, śpiewaków, tancerzy; dzień i noc brzmiał hałas biesiad i zabaw. Obok tego toczyła się sprawa mnicha Sylwestra i zacnego Adaszewa, obwinionych o to, że zapomocą uroku, rzuconego na wielkiego księcia, byli nim owładnęli. Iwan, wbrew już dawnemu zwyczajowi krajowemu, nie oddając ich pod sąd właściwy,

sam zabrał się sądzić. Ten krok rozpoczyna pierwszą rzeź, pierwsze tak zwane opały, czyli przewianie narodu.

Naprzód padł ofiarą brat Adaszewa, a razem z nim uległa karze cała jego rodzina, czego nigdy dotąd nie widziano ani na Rusi, ani w Moskwie. Sławna z piękności i z cnót Marja Adaszew, wtrącona do więzienia, przed zgonem swoim w męczarniach musiała patrzeć na ścięcie jej dzieci. Następnie idą pod miecz dalsi krewni i przyjaciele tego domu. Po wytępieniu Adaszewów Iwan rzuca się na innych panów i bojarów. Dymitr Oboleński padł przebity własną jego ręką. Stary książę Repnin za to, że nie chciał tańcować na balu, że miał za grzech przywdziać maskę, utracił życie. Drugi poważny mąż, który nie mógł pić wiele i odmówił puharu, podawanego mu przez księcia, został wrzucony do piwnicy, gdzie go uduszono, lejąc miód w gardło. Książę Wołkoński, prezydujący w radzie bojarów, umarł, zamorzony głodem. Prawie wszystkie znakomitsze familje wyginęły okrutnym sposobem.

Wielu wtenczas uciekało z kraju, szukając schronienia w granicach Polski. Tak ratowali się Laszkin, Kurakin, Worotyński. Ten ostatni był naczelnikiem partji litewskiej. Długo bowiem ścierały się z sobą w Moskwie dwa główne stronnictwa. Jedno, zwane litewskiem, chciało ustalić ład i porządek w państwie, łagodnemi wszakże

środkami, drugie, kierowane przez Szujskich, zalecało terroryzm. Ale po zaszłej dopiero zmianie i po upadku Szujskich zniknął już wszelki ślad stronnictw; pojedyńcze tylko osoby, dla własnych widoków ubiegały się o względy możnowładcy.

Między zbiegami najznakomitszy był książę Kurbski, człowiek sławny w dziejach moskiewskich, wojownik, uwieńczony wawrzynem wielu bitew, świeżo jeszcze przy wzięciu Kazania okryty nową chwałą i licznemi bliznami. Szczerze przywiązany do wielkiego księcia, gorliwy o pomyślność państwa, musiał on jednak, porzuciwszy żonę i dzieci, unosić swą głowę pod opiekę króla polskiego. Zdawało mu się atoli, że nagła gwałtowność wielkiego księcia pochodziła tylko z chwilowego jakiegoś zapędu, miał nadzieję upamiętać go i przedsięwziął pisać do niego z upomnieniem. Ale trudno było znaleźć posłańca, któryby się podjął taki list doręczyć. Jeden przecież wierny sługa odważył się na to: przybywszy do Moskwy, wcisnął się do zamku i zastawszy Iwana wśród dworzan, oddał mu pismo, powiadając od kogo. Iwan, nie mogąc znieść, żeby kto w jego obecności powtórzył imię Kurbskiego, zbliżył się do sługi i utkwił mu w nodze swoją laskę. Laska ta ze słoniowej kości, ostro kuta na końcu, jest historyczną, przechowuje się do dziś dnia w muzeum w Moskwie. Wielki książę miał zwyczaj opierać się nią na stopach bojarów

i panów, z którymi rozmawiał. Często tym sposobem przygwoździwszy do posadzki nieszczęśliwą ofiarę, wpatrywał się w poruszenie twarzy, a biada była temu, kto choćby najmniejszym znakiem okazał boleść. Sługa Kurbskiego wytrzymał to mężnie. Iwan, nie puszczając go, cały list głośno odczytał. Oto jest mały wyjątek z niego:

„Monarcho niegdyś wspaniałomyślny, ale na karę za grzechy nasże miotany dzisiaj szałem wściekłości, skażony aż do głębi twojego sumienia, tyranie, jakiego nie było między najsroższymi mocarzami ziemi, przewrotny oszczerco, co wiernym dajesz imię zdrajców, chrześćjan nazywasz poganami. Azali już nie masz Boga, nie masz w górze trybunału na królów? Żegnam cię, rozstaliśmy się z sobą na wieki i nie zobaczymy się, aż w dzień sądny. Ty nie boisz się żywych, lękajże się umarłych. Ci, których pomordowałeś, czekają ciebie u tronu Najwyższego Sędziego. Podli twoi poddani mogą ci dzieci swe wydawać na pastwę, ale nie zdołają nieśmiertelnym cię uczynić“.

Wielki książę był czasu swego literatem, miał pretensje do wymowy i gładkiego pisania; żaraz więc wziął się do odpowiedzi Kurbskiemu, a nawet wszedł z nim w ciągłą korespondencję. Listy jego, zebrane razem, tworzą spory tom i są bardzo ciekawym zabytkiem, również, jak listy i pamiętniki Kurbskiego.

Podajemy tutaj próbkę stylu Iwana.

„W imię Boga, przez którego królowie panują, do wysokiego bojara, kniazia Andrzeja Kurbskiego.

„Biedny Kurbski! czemu ty chcesz duszę twą zatracić, ratując ucieczką marne twe ciało? Czyliż nie lepiejby ci było umrzeć z rozkazu twojego pana i pozyskać przez to wieniec męczeński? Czemże jest życie, czem dostatki i dostojeństwa ludzkie? Znikomością i cieniem. Szczęśliwy, kto zgonem może okupić zbawienie duszy. Postępek twojego sługi Szybanowa powinienby cię zawstydzić: pokazał się on należycie wobec Nas i Naszych poddanych.

„Jeżeli wielu karać mi przychodzi, to smutna ta powinność bolesną jest memu sercu. Wiadomo jednak, że więcej jeszcze zdrad kryje się nieukaranych. Potrzebna mi łaska Pana Boga, Najświętszej Panny i wszystkich Świętych, ale ludzi o radę nie proszę. Straszysz mię sądem Chrystusa na tamtym świecie. Mniemasz więc, że moc Jego nie rządzi i tym światem? Muszę cię przestrzedz, że wpadasz w herezję manichejską". (Podług nauki Manichejczyków Bóg rządzi światem duchów, królowie ziemią, a szatan piekłem). „Zapowiadasz, że już nie zobaczę więcej twojej twarzy czarnomazej. Co za nieszczęście dla mnie! Mówisz, że traceni przezemnie otaczają tron Boży. To zdanie heretyckie!" I tu zaraz cytuje słowa

listu św. Pawła: „Nikt, mówi apostoł, nie może oglądać Boga“.

W całem tem piśmie, jak widzimy, panuje jednaki ton ironji, przebija się ciągle złość tłumiona. Ze względu literackiego można nawet powiedzieć, że książę Iwan pierwszy podał wzór wyrażania się w sposób ironiczny, który zupełnie jest obcym literaturze słowiańskiej.

Podczas pierwszych opałów padło przeszło 300 głów bojarskich z pomiędzy krewnych lub przyjaciół Adaszewa, spowiednika Sylwestra i kniazia Kurbskiego, jako podejrzanych o spiski albo zmowy z Polską. Iwan wszakże nie przestawał krzyczeć, że go wszyscy zdradzają, że niema przychylnych sobie, że nikt nie chce mu wydawać jego nieprzyjaciół. Cały dwór drżał od strachu; nie śmiano już czynić doniesień, bo trudno było zgadnąć, kogoby życzył widzieć oskarżonym. Rzeczywiście miał on na celu zagładę wszystkiego, co go otaczało.

Pośród takich narzekań, nagle przedsiębierze szczególniejszy zamiar złożyć rządy i opuścić stolicę. Każe pakować swoje rzeczy, dworzanom i naczelnikom wojska wybierać się w drogę; wynosi się z Moskwy i osiada w odludnem miejscu na puszczy. Stamtąd dopiero uwiadamia metropolitę i bojarów, że mu obrzydli, że ponieważ go nienawidzą i knują na niego zamachy, nie chce mieć z nimi do czynienia, oddaje im państwo, a ich samych djabłu.

Na tę wiadomość powstaje lament powszechny, metropolita i bojarowie rozpaczają, lud jęczy z żałości. Wszyscy wołają, że Moskwa już przepadła, bo niema pana, że trzeba błagać księcia, aby zlitował się nad swoim narodem, wrócił i wziął znowu na się ciężar rządu, obronę Kościoła od niewiernych. Starszyzna tedy wyrusza uroczyście z prośbami do wielkiego księcia, pada mu do nóg, płacze, zaklina, błaga, wołając: karz nas panie, nie oszczędzaj żadnego, tylko nie opuszczaj!

Dziwne to przywiązanie nie daje się wytłumaczyć przez żadną pobudkę moralną. Historycy rosyjscy, sami nie mogąc go pojąć, przypisują je wyobrażeniom religijnym: mniemają, że lud, widząc w swoich monarchach pomazańców Bożych, nie mógł oderwać się od nich. Niesłusznie jest wszakże oskarżać Kościół ruski o wpojenie w naród tych uczuć. Zobaczymy zaraz, że duchowieństwo obrządku greckiego, chociaż podbite zupełnie przez władzę świecką, podnosiło się jednak przeciw tyranji, usiłowało stawić opór dla ochrony ludu. Przywiązanie to instynktowe, zgoła bez związku z jakiemkolwiek uczuciem, znanem Europejczykom, przeszło do Rosjan od Mongołów, tulących się koło swoich wodzów...

Takie to uczucie wsiąkło pomału w naród moskiewsko-ruski, który nie miał w sobie żadnego żywiołu dość mocnego na odparcie tego

wpływu, a przez długie lata pod jarzmem Mongołów odpychany coraz bardziej od sprawy publicznej, stracił nareszcie do szczętu samodzielność, nie mógł już pojąć, żeby można było rządzić się i utrzymać państwo bez jedynowładnego pana.

Iwan więc, wzywany z jękiem rozpaczy, dał się nareszcie wzruszyć, obiecał wrócić do Moskwy; ale, jak gdyby trzeba mu było jeszcze przyznania władzy, kładzie za warunek, że odtąd będzie miał prawo karać podwładnych, rozrządzać ich majątkiem i życiem, zakazuje duchowieństwu wstawiać się i prosić za kimkolwiek. Dogodzono żądaniu wielkiego księcia, i tym sposobem despotyzm pozyskał już podstawę legalną, został uprawniony przez reprezentację narodową. Umowa ta przypomina dekret spodlonego senatu rzymskiego, który podobnież prawo zlewał na imperatorów.

Mając wydaną sobie w ręce całą Ruś moskiewską, Iwan, otoczony swoją strażą, przyjeżdża do stolicy i ukazuje się ludowi, który ledwo mógł go poznać, tak był zmieniony. Wyłysiał, broda mu wypełzła, oczy zapadły, cała twarz miała wejrzenie przerażające. Zaraz rozpoczęły się drugie opały.

...Nie podobna opisać ucisku, jakiego doświadczały miasta, wyznaczone dla straszliwej gwardji książęcej. Dwanaście tysięcy różnego stanu ludności, wygnanej z samej Moskwy, tu-

łając się wśród zimy, marło głodem. Strzelcy, osiadłszy kilka części stolicy, wypędzali wszystko bez miłosierdzia. Iwan dał im za godło psią głowę i miotłę, co znaczyło, że powinni byli kąsać jego nieprzyjaciół i kraj wymiatać. Sam książę przyjął te znaki i kazał przed sobą jako insygnja nosić. Zrazu lud prosty mniemał, że się prześladowanie ograniczy na panach i szlachcie, ale wkrótce klęska dała się uczuć i jemu. Wyludnione miasteczka i włości pożerał ogień, okolice Moskwy zmieniły się w prawdziwą pustynię. *(K. I. 31)*.

IWAN GROŹNY.

Między zausznikami Iwana było wielu Niemców. Pierwszy to raz Niemcy występują ze swojem znaczeniem w państwie moskiewskiem. Pochodzili oni z miast niemieckich, zdobywanych w Inflantach, i po wzięciu szturmem, burzonych do szczętu; a chociaż niektóre poddawały się przez kapitulację, polityka książąt znajdowała zawsze pretekst prędzej czy później je zniszczyć. Resztki ludności zapędzano w głąb państwa i rozsiedlano po różnych stronach. Jeńcy ci wszakże, jak się zdaje, nie ubolewali nad tem, rychło oswajali się z nową ojczyzną, kochali wielkiego księcia, garnęli się do jego osoby. Iwan miał koło siebie teologów niemieckich,

rozprawiał z nimi o dogmatach, odkrywał im poufale swoje myśli, zwierzył się nawet, w jaki sposób zamierzał kraj zreorganizować: powiedział, że wytnie naprzód bojarów, których było 400.000, przejdzie potem do mieszczan, przetrzebi i lud prosty, a dopiero z resztą zrobi, co zechce. Niemcy, obojętni zupełnie na los narodu, zamiast coby mieli odwodzić księcia, pochlebiali jego drapieżnym skłonnościom. Im to winniśmy wiadomość o szczegółach życia tego monarchy, a można ufać, że opisywali wiernie, bo nie powodowała nimi żadna niechęć ku szczodrobliwemu panu, który ich głaskał i obsypywał darami...

Niemcy, towarzysze tych wypraw, powiadają, że nietylko zabijał ludzi, ale i bydło, koty, słowem wszystko, co żywego nawinęło mu się przed oczy. Rozbestwieni legjoniści dokazywali podług swojej woli. Jeden ich oddział napadł w Moskwie domy bojarów i kupców, pozabierał najpiękniejsze kobiety i uprowadził do obozu. Iwan, wybrawszy ich kilka dla siebie, resztę oddał swojej czeredzie. Odesłano je później, umierające z boleści i wstydu.

Nakoniec wielki książę każe sądzić metropolitę Filipa. W czasie, kiedy odbywał nabożeństwo, siepacze wpadają do cerkwi, obskakują go z miotłami w ręku, pędzą przed sobą i zamykają w ciasnej ciupie, gdzie ma czekać niechy-

bnej kary, bo mściwość tyrana nie zapomina nigdy swoich ofiar.

Po spustoszeniu okolic Moskwy, nastąpił wedle rachunku historyków rosyjskich, czwarty i najstraszniejszy perjod opałów. Dotąd wielki książę mordował ludzi pojedyńczych i rodziny, teraz wziął się wytępiać całe masy narodu, całe miasta. Od dawna rozjątrzała się w nim zawziętość do Nowogrodzian i Pskowian. Przed wielu laty, jakeśmy to widzieli, pozbawieni oni potęgi i swobód, ulegali spokojnie panowaniu moskiewskiemu, ale donoszono zawsze księciu, że są jeszcze między nimi ludzie, co zasiadali niegdyś w radzie i przypominają sobie straconą niepodległość, mówią o przyszłym blasku rzeczypospolitych, nie cierpią Moskali. Znając to usposobienie Iwana, jakiś nikczemnik zaskarża przed nim Nowogrodzian o spiski i zmowy w celu poddania się królowi polskiemu, powiada, że są od niego listy, chowane za ołtarzem w cerkwi.

Chwyciwszy ten powód wielki książę natychmiast rusza z wojskiem karać buntowników. Ale co jest rzecz dziwna, burzy i niszczy po drodze miasta, nie mające nic wspólnego z Nowogrodem. Przyciągnąwszy wieczorem pod Klin, każe wycinać i topić ludność, palić wszystko. Skoro więc zbliżył się do Tweru, mieszkańcy, przerażeni, kryją się i zamykają w domach. Iwan wydaje na nich wyrok śmierci za tę nieufność ku monarsze. Podobnemuż losowi uległ Torżek.

Cała przestrzeń kraju, kędy przechodził car, otoczony swoim straszliwym hufcem, wyglądała, jak po przejściu Tatarów. Istotnie było to zastosowanie obyczaju mongolskiego. Kiedy pytano morderców, za co tępili spokojnych i wiernych poddanych swego pana, odpowiadali oni, że wymagała tego tajemnica wyprawy, że trzeba było zapobiedz, aby nikt nie mógł jej wydać. Tak samo po śmierci Dżengis-Chana, Mongołowie, prowadzący jego zwłoki z głębi Chin do swoich siedlisk, w ciągu tej drogi niemal przez czwartą część globu, zabijali wszystko, co spotkali, dając za przyczynę, że mieli polecenie iść tajemnie.

Za przybyciem pod Nowogród, wielki książę kazał opasać miasto rogatkami, żeby nikt nie umknął, potem wkroczył z wojskiem. Metropolita Nowogrodu, spodziewając się jeszcze skruszyć go modłami i pokorą, wyszedł naprzeciw niemu z krzyżem i z obrazami świętych. Iwan przywitał go upomnieniem, że krzyż trzeba nosić w sercu, nie w ręku, że jest hipokrytą, że wie, iż on zdradza Chrystusa Pana i jego Kościół. Tak zgromiwszy, zaprasza go jednak na obiad, również jak całą starszyznę. Pośród uczty dopiero, nagle zrywa się od stołu i wykrzykuje swoje ulubione tatarskie *hałła*! Na to hasło rzucają się jego niedostępni towarzysze i wykonawcy morderstw, wiążą metropolitę, zabijają wszystkich bojarów, rozjuszeni wybiegają na

miasto i nie przepuszczając płci, ni wiekowi, szerzą rzeź naprzód w domach najbogatszych, a nakoniec między pospolitym ludem.

Tymczasem Iwan zaznacza trybunał dla śledzenia i karania zdrady Nowogrodzian. Codzień skazywano 400 do 500 osób. Żeby prędzej skończyć z niemi, rzucano hurtem do wody, a żołnierze na czółnach widłami i drągami zatapiali tych, co jeszcze usiłowali wypłynąć. Sam Iwan z synem zawsze był obecny temu widowisku. Przez pięć tygodni trwania tych sądów, zginęło przeszło 100,000 ludzi. Nowogród, jak wiadomo, za poprzedników Iwana, był w części zaludniony Moskalami. Rodziny te moskiewskie wołały, że nie mają żadnego związku z miejscowymi, że należą do liczby zawsze wiernych poddanych wielkiego księcia; nic to wszakże nie znaczyło: tępiono je równie, jak inne. Miasto zostało wyludnione do szczętu. Co uszło śmierci, błąkało się po ulicach bez przytomności. Zjawiła się jakaś powszechna, a niesłychana choroba umysłowa, którą opisali Niemcy, świadkowie naoczni tej klęski. Dotknięci tą chorobą, w nędzy, w głodzie i zimnie nie myślili i nie gadali więcej o niczem, tylko o zabójstwach i trupach, ciągle grzebali się w ziemi, szukając umarłych. Kiedy to działo się, pośród pustek i gruzów, na placu otoczonym niegdyś bogatemi sklepami murowano pałac dla wielkiego księcia.

Tak skończywszy z Nowogrodem, Iwan po-

ciągnął do Pskowa i stanął na poblizkiem wzgórzu. Kroniki mówią, że wpatrując się stamtąd w miasto, ruszał dolną szczęką, jak gdyby je pożerał, a przytem groził ręką i głosem. Trwoga ogarnęła Pskowian, każdy bez wyjątku gotował się na śmierć. Biskup tameczny kazał uderzyć we wszystkie dzwony. Powiadają, że ten odgłos przeniknął tyrana, przypominając mu jakąś okoliczność z jego lat młodych, i rozbroił jego zapęd. Wedle innych kronikarzy, miał go spotkać niedaleko Pskowa mnich pustelnik, który zawołał nań po imieniu w taki sposób, jak go ojciec nazywał w dzieciństwie, co, że nikomu nie mogło być wiadomem, zdziwiło i przeraziło księcia. Wysłuchawszy więc pustelnika, grożącego mu wiecznem potępieniem, zmienił swój zamiar i dał pokój Pskowianom, a wrócił do Moskwy rozpocząć piąte z kolei opały.

Pozorna przyczyna tej nowej rzezi była wynalazku samego księcia. Kazał on nafabrykować listów, niby od króla Zygmunta z namowami do zdrady i porozdawać je rozmaitym bojarom na swoim dworze. Bojarowie domyślając się podstępu, składają w jego ręce otrzymane pisma, starają się zrzucić z siebie wszelkie podejrzenie, powtarzają mu wyznania wierności; nie ocaliło to wszakże przeznaczonych w jego myśli na zgubę. Całe rodziny Bobryńskich, Pleszczejewów, Woroncowów, Buturlinów, Meszczerskich i wielu innych padły ofiarą. Nakoniec postanowił zadać

cios rodzonemu synowcowi, którego oddawna zamyślał zgładzić i tylko chował do upatrzonej pory.

Książę ten, imieniem Włodzimierz, świeżo był otrzymał dowództwo nad wojskiem, wyprawionem przeciw Tatarom; Iwan bowiem lubił niespodziewanie podchwytywać swoje ofiary, i kiedy gotował się kogo zamordować, obsypywał pierwej względami. Jakoż nagle daje rozkaz aresztować Włodzimierza i przyprowadzić do Moskwy, a skoro stanął przed nim, zarzuca mu, że chciał go otruć i skazuje na wypicie trucizny. Młody książę wahał się jeszcze, ale żona jego zawołała, że lepiej skończyć odrazu, niżeli ciągle czekać śmierci, że zgon taki nie jest samobójstwem lub męczeństwem, i sama pierwsza wychyliwszy kubek, podała go mężowi, a potym wszystkim dzieciom swoim. Tym sposobem cała ta rodzina wymarła w oczach Iwana, który przypatrywał się ciekawie twarzom konających. Nasyciwszy się tym widokiem przywołał dwór synowca i kazał zbierać trupy. Kobiety z orszaku nieboszczki księżny, uniesione żalem i gniewem, przyskoczyły do tyrana, klnąc go i łając. Niektóre z nich postrzelano zaraz, inne rzucono psom i niedźwiedziom na pożarcie.

Czytając w kronikach i pamiętnikach współczesnych opisy tych wszystkich okrucieństw, niemożna nie zadrżeć od zgrozy. Umysły zdawały się wysilać na wynalazki piekielnych spo-

sobów dręczenia ludzi. Jedynie do tego przeznaczone kuźnie robiły ciągle kleszcze, haki, kolce, i różnego kształtu narzędzia katowskie. Stawiono osobne piece do palenia powolnym ogniem nieszczęśliwych. Odzierano ich żywcem ze skóry, piłowano sznurkiem na połowę, zabijano, ucinając jeden po drugim wszystkie członki. A kiedy naród truchlał ze strachu, pałac książęcy brzmiał hukiem zabaw.

Rozszerzyliśmy się z tym przykrym obrazem, bo ukazuje ona nam epokę bardzo ważną w dziejach Północy, koniec Rusi starożytnej, słowiańskiej. Stan bojarów, stan dawnej szlachty ruskiej miał ostatniego swego reprezentanta w Kurbskim; Kościół ruski ostatni raz przemówił zacnie i uroczyście przez usta Filipa. (K I. l. 31.)

STEFAN BATORY.

Stefan Batory, wojewoda siedmiogrodzki, władając małym swoim krajem, znajdował się już w położeniu, które go zniewalało obeznać się z powszechną polityką Europy. Trzeba mu było z jednej strony uznawać zwierzchnictwo Turcji, z drugiej starać się ciągle o względy cesarza austryjackiego; musiał też szukać podpory w Polsce i nawet mieć stosunki z Moskwą. Skoro więc tylko objął rządy rzeczypospolitej, przekładał zaraz senatowi konieczność przedsięwzięcia

wypraw stanowczych na grożących jej nieprzyjaciół, na Krym i Moskwę. — Ale, że Tatarzy krymscy podlegali porcie, a wojna z Turkami wikłała się z wielu kwestjami europejskiemi, wypadło nadal ją odłożyć. Król Stefan osądził za rzecz stosowną począć od wywrócenia carstwa moskiewskiego i czuł się do tego na siłach. Nie przestraszała go ani potęga, ani niezmierna władza panującego naówczas w Moskwie Iwana Okrutnego.

Iwan właśnie wykonywał wtedy piąte swoje opały, czyli przewianie narodu. Wymordowawszy różnemi sposobami mnóstwo wszelakiego stanu ludzi, kazał wznieść na rynku szubienicę i postawić kotły z wodą, zapowiadając, że będzie wieszał i gotował żywcem swych nieprzyjaciół. Przestrach ogarnął całą stolicę, mieszkańcy pewni nieuchronnej zguby, uciekali z miasta, albo zamykali się w domach. Wielki książę zagniewany, że nikogo nie było widać na ulicach, chodził z orszakiem swoim od domu do domu, wybijał drzwi i spędzał na plac publiczność, aby przypatrywała się jego okrucieństwom.

Wśród tego prześladowania, toczyła się wojna z Tatarami krymskimi. Iwan hardy i dumny ilekroć Szwedzi chcieli z nim traktować, tchórzył i tracił zupełnie otuchę wobec Tatarów, sam podawał chanowi pokorne warunki pokoju, byleby uniknąć bitwy. Tatarzy wpadli do Mo-

skwy, spalili miasto: 800,000 ludności, wedle rachunku historyków rosyjskich, zginęło w tej klęsce. Po ich odejściu, skoro tylko zdołał wrócić do stolicy, rozpoczął zaraz szóste swoje opały.

Nie będziemy rozszerzali się nad szczegółami jego morderstw, bo nawet niepodobna ich wyliczyć. Potraciwszy prawie wszystkich najmożniejszych i najbogatszych bojarów, zniszczywszy niemal połowę mieszkańców, zasiadł jakby bawić się cierpieniem ludzkiem. Z ulubionymi doradzcami swymi, jednym Niemcem, drugim Inflantczykiem, wymyślał coraz nowe i dolegliwsze sposoby męczenia nieszczęśliwych ofiar. Nakoniec wziął się i do zagłady swego straszliwego legjonu opryszków. Tyranja zawsze musi w ostatku skruszyć własne narzędzie. Wiadomo, że tryumwirowie rzymscy wydawali swoich siepaczy na rzeź żołnierzom, a rewolucja francuska także pożarła niemal wszystkich swoich katów.

Iwan Okrutny, czując potrzebę przywiązania do siebie całego wojska, wytępiał pomału bliższych zauszników, często z najpiekielniejszym przemysłem, obciążając karę. Tak naprzykład, jednemu z nich przed pójściem pod topór, kazał pierwej własną ręką zabić ojca.

Epoka ta prześladowań rozpoczęła się od śmierci księcia Wariatyńskiego, wojownika, wsławionego czynami, świeżego zwycięzcy Tatarów. — Wielki książę kazał go palić ogniem powolnym,

i sam przysuwał laską węgle, dopytując się, gdzie swoje skarby pochował.

Kurbski, ów bojar, co się schronił do Polski, pisząc o swoim przyjacielu, Wariatyńskim, powiada:

„Mężu znamienity, mężu rzadkiej mocy umysłu i ducha, niechaj twa pamięć pozostanie na zawsze świętą w domu naszym. Służyłeś ojczyźnie niewdzięcznej, w której cnota jest zbrodnią, a sława zgubą".

Mimo to wszystko, bojarowie i lud ślepo ulegali Iwanowi. Jeden ze współczesnych pisarzy przytacza następujący przykład:

Kiedy wielki książę kazał jednego ze znakomitych bojarów wbić na pal, ten nieszczęśliwy, żyjąc 24 godzin w męczarniach, rozmawiał z żoną i dziećmi, stojącemi przy nim, a w ciągu tej rozmowy powtarzał, co chwila: „Panie Boże, niech Twoja opieka czuwa nad carem!"

Wszystkie te szczegóły służą do zrozumienia historji rosyjskiej. Wielcy książęta wytępili do szczętu wszelkie uczucie zdolne zarodzić opór.

Jednego razu Iwan zapytał, co to było, że bojar, którego często widywał, oddawna nie pokazywał się u dworu. Odpowiedziano mu, że się ożenił z bardzo ładną kobietą. Wielki książę na czele swoich siepaczy rusza zaraz do niego, każe naprzód w oczach jego znieważyć, a potem powiesić żonę i stawi go na straży przy trupie, aby nikt nie śmiał oderżnąć sznurka.

Innego razu, po straceniu skazanego na śmierć męża, kazał wziąć na tortury ośmnastoletnią jego żonę. Wśród egzekucji, zmieniwszy nagle myśl, oddał ją za nałożnicę swojemu synowi, a później w kilka dni odesłał do klasztoru, gdzie wkrótce umarła.

Rozrywki jego nawet były zawsze okrutne. Miał niedźwiedzie umyślnie hodowane i wprawione do polowania na ludzi. Z temi, zaczajony u którejkolwiek bramy Kremlina, czekał aż póki się nie zbierze gęstsza gromada przechodzących. Szczególniej lubił, kiedy mu się zdarzyło podchwycić tym sposobem garstkę chłopów albo mieszczan, wesoło powracających z szynku. Wtedy puszczał na nich swoje drapieżne bestje, i widząc, jak te szarpały struchlałych od strachu, śmiał się na całe gardło. Jeśli jednak któremu z napadniętych udało się wykręcić od śmierci, dawał mu w nagrodę zręczności kilka sztuk złota. Czasem także kazał zaszywać ludzi w skóry niedźwiedzie i szczwał psami.

Mówiliśmy już, jak posłowie zagraniczni nie mogli ani domyślać się tego, co się działo w Moskwie. Iwan doskonale układał się przed nimi, zmieniał zupełnie swój charakter i język. Jeden z tych posłów, Cobentzel, ambasador cesarza austrjackiego, człowiek oświecony i rozumny, mówiąc o Iwanie, powiada nawet wyraźnie, że wszystko co na niego w innych krajach gadają, jest wierutną potwarzą; że monarcha ten owszem

ma jak najlepsze wychowanie, umie bardzo dobrze traktować ludzi, wie, jak kogo, wedle dostojeństwa uczcić należy, i jemu samemu oddał uprzejme odwiedziny.

Batory, ledwo mogąc 40,000 żołnierza zgromadzić do boju, nie wahał się wydać walki temu mocarzowi, który, wedle podania historyków moskiewskich miał wojsko tak liczne, jak Kserksesowe; samej armji regularnej rachował 40,000, nadto 150,000 synów bojarskich i mógł w potrzebie ruszyć 300,000 chłopów. Mimo to król Stefan, przedsiębiorąc jedną po drugiej trzy wyprawy, zmusił go do przyjęcia warunków poniżających.

...Batory, jakeśmy już powiedzieli, mocą swojej woli, przełamawszy usposobienie wewnętrzne sejmu, rozpoczął drugą wyprawę przeciw Moskwie. Zamiarem jego teraz było, odciąć wielkie księstwo od morza, przerwać tę drogę, kędy Iwan dostawał z Europy inżynierów, artylerzystów i rzemieślników, ścisnąć potęgę moskiewską w jej gnieździe i zdusić, albo wyrzucić na stepy północno-wschodnie. Od Połocka puścił się przez lasy i bagna, szlakiem znanym w Rosji pod nazwiskiem drogi książąt litewskich, i obległ Wielkie łuki. Wojska moskiewskie, przysłane na odsiecz, zostały pobite, zamek wzięto szturmem. Następnie wodzowie polscy pozabierali Wieliż, Uświat, Rewel, Zawołocze, Jezierzy-

szcze, Porchów, Opoczkę, Starodub i wiele innych grodów, a król stanął pod Pskowem.

Iwan, widząc siły nieprzyjaciela mało co więcej jak o mil 30 od swojej stolicy, lubo jeszcze miał 200,000 wojska, zwątpił zupełnie i począł usilniej dopraszać się pokoju. Pierwej odzywał się zawsze hardo i pisywał listy obrażające, teraz zalecał już swoim posłom błagać króla uniżenie, znosić z pokorą chrześćjańską, gdyby ich źle traktował, a nawet chociażby i kazał obić.

W ciągu całej tej wojny daje się widzieć niby mały dramat, odgrywany przez trzy osoby, toczy się szczególniejsza rozmowa między wielkim księciem Iwanem, królem Batorym i księciem Kurbskim, owym zbiegiem z Moskwy, towarzyszącym wszędzie Batoremu.

Kurbski był jakby uosobioną zgryzotą sumienia dla wielkiego księcia. Skoro tylko popełnił nowe okrucieństwo, skoro poniósł nową klęskę, natychmiast otrzymał od Kurbskiego list, pełen gorzkich wyrzutów, i mimo całą swoją potęgę, nie miał mocy zostawić bez odpowiedzi. Za każdym razem, odpisując mu, powiadał, że nie chce mieć do czynienia ze zbiegiem, a jednak, kiedy nowy list przyszedł, nie mógł wytrzymać i brał się do pióra. Sam nawet wszczynał czasem korespondencję. Na początku wojny, opanowawszy miasto Wolmar, którego mieszkańcy, schronieni w zamku, woleli dobrowolnie wysadzić się na powietrze, niżeli dostać się w ręce

tyrana, napisał do Kurbskiego następny list, tchnący zjadliwą ironją i hipokryzją:

„Niechaj pokora będzie, jak w moim sercu, tak i moich słowach. Znam moje winy, ale miłosierdzie Boskie jest nieskończone i w tem pokładam nadzieję mego zbawienia. Pan Bóg cieszy się więcej z jednego grzesznika skruszonego, niżeli z dziesięciu sprawiedliwych. Ta bezdenna dobroć pochłonie grzechy jednego tyrana i rozpustnika. Patrz, Kurbski, jakie są zrządzenia woli Bożej. Gdzie ty dzisiaj? Pisałeś ostatni list z Wolmaru. Siedząc tam, wylewałeś obelgi przeciw twemu panu, a oto teraz twój pan w twem mieście. Wejdźże nakoniec w siebie samego, zastanów się nad tem, co czynisz. Nie pycha skłania mię przemawiać do ciebie, ale miłość chrześćjańska. Chciałbym cię poprawić, mój biedny Kurbski, chciałbym uratować twą nieszczęśliwą duszę".

Kurbski zaczekał na wzięcie Połocka i pobicie wojsk moskiewskich przez Batorego, a potem po dostaniu szturmem przez Polaków zamku Sokoła, wśród dymiących jeszcze gruzów, odpisał Iwanowi:

„A co, wielki carze moskiewski, w cóż się obróciły twoje tryumfy? Pogrzebałeś je razem z ciałami wojewodów, pomordowanych przez ciebie. Król Stefan z garstką swego rycerstwa gości w twojem państwie, odbiera ziemie, któreśmy niegdyś podbili, a ty, na czele niezliczonego

wojska, kryjesz się i uciekasz, choć nikt cię nie ściga, prócz własnego twojego sumienia. Czyliż nie wyraźnie ręka Boska dotknęła tyrana? Co za widok wszędzie! Głód, zaraza, zgorzeliska po całym kraju, stolica w gruzach, i co okropniejsza, zgroza w stolicy!"

Batory mięszał się także do tego djalogu. W owym czasie komunikacje dyplomatyczne nie miały jeszcze tej bezkolorowej formy, jaką im nadano później; nie używano raz na zawsze ukutych wyrażeń i zimnych ogólników. Monarchowie północni, prawdziwie obyczajem bohaterów Homerowskich, odzywali się jeden do drugiego krasomówną prozą, a niekiedy i wierszem. Car Iwan, lubiący wiele mówić i pisać, często posyłał Batoremu w rozwlekłych swoich listach wyzwania, pogróżki i szyderstwa. Batory odpowiadał podobnież. Tym sposobem odegrywany dramat, którego główni aktorowie nie za pośrednictwem poety, ale wprost przemawiając, ponad gorejącemi miastami rzucali sobie nawzajem słowa, jest zapewne bardzo ciekawy, i ta rozmowa piśmienna wielkich historycznych figur, stanowi szacowny pomnik w literaturze słowiańskiej.

Iwan, przybierając na się pokorę i łagodność mnicha, wyrzucał Batoremu, że rozlewał krew chrześćjańską; gorszył się tem, że żołnierze polscy mało dbali o poległych i nie chcieli ich grzebać; kiedy Batory domagał się u niego zwrotu

kosztów wojennych, dziwił się, jakim sposobem król i rycerz chrześćjański, mógł żądać pieniędzy; powiadał, że dlatego tylko nie uderzał silnie na Polaków, że miał wstręt gubić chrześćjan, bo dosyćby mu było podnieść swoją chorągiew, aby ich zetrzeć.

Król Stefan odpisał na to:

„Ale ukaż się nam nakoniec, Boże Moskiewski, jak tam każesz siebie nazywać podłym swoim niewolnikom. Nie widzieliśmy dotąd ani twojej osoby, ani twojej chorągwi, o której ciągle nam prawisz. Chorągiew twoja straszy tylko Moskali, nie zaś nieprzyjaciół. Jeśli istotnie chcesz oszczędzić krew chrześćjańską, człowiecze litościwy, dzielny rycerzu Iwanie, gotów jestem rozprawić się z tobą sam na sam. Wybierz sobie czas i miejsce, przybądź konno, a zakończym rzecz pojedynkiem".

Rozpocząwszy oblężenie Pskowa, Batory musiał je zostawić swoim wodzom, a jechać znowu na sejm do Warszawy.

Nigdy żaden monarcha nie był równie, jak on oczerniany przez swoich poddanych. Rozsiewano o nim haniebne wieści, wymyślano najniedorzeczniejsze posądzenia. Kiedy z własnej swojej szkatuły dobywał ostatnich zapasów na potrzebę rzeczypospolitej, gadano jakoby prowadził wojnę w tym jedynie celu, aby się zbogacić, a potem uciec z Polski. Obok tego posądzano go, że starał się zamienić swoją

władzę w nieograniczoną, i ustalić dziedzictwo tronu, chociaż był bezdzietny, i nie miał komu berła zostawić. Posłowie zmawiali się nie dać już mu więcej żadnych zasiłków: ale jeszcze raz pomięszał im szyki powszechny zapał narodu.

Po drodze od granic moskiewskich, wszędzie, gdzie usłyszano zbliżającą się kolaskę królewską, lud ze wsi i miasteczek wybiegał tłumem witać i błogosławić króla-wojownika. Skoro przybył do Warszawy, cała ludność stolicy wysypała się na jego spotkanie, uderzono we wszystkie dzwony i gmin utrzymywał, że wyraźnie słychać było w ich głosie imię króla Batorego. Taki entuzjazm oniemił przygotowaną opozycję w sejmie. Batory zresztą nie wdawał się w rozprawy. Przychylni mu, radzili, żeby korzystając z powszechnego usposobienia umysłów, zaprowadził tęższy ład w rzeczypospolitej. Dopytywano się u niego, jakby należało określić stosunek międy państwem a stanem duchownym, między sektami a Kościołem. Odpowiadał, że jeszcze nie przyszedł czas do tego, chociaż wiele już był zrobił w tej mierze. Proszono także, żeby ogłosił uchwałę względem sposobu wybierania królów. Nie chciał i o tem nic wyrzec, chociaż wiedziano, że z panami, posiadającymi jego zaufanie, układał rozległy plan zmiany wewnętrznej w Polsce. Tymczasem zajmował się urządzeniami wojskowemi, tworzył piechotę, której Polacy dotąd nie mieli.

Ponieważ szlachta nigdy nie chciała służyć pieszo, a niebezpiecznie było żądać u sejmu pozwolenia na zaciąg włościan obywatelskich, król poprzestał na zaciągu w dobrach koronnych i z nich napełniał liczne pułki, zaręczając włościanom po odbyciu trzech wypraw wolność osobistą im samym i ich potomstwu, a nadto obdarzając często szlachectwem tych, co się odznaczyli w boju.

Tym sposobem, Batory, prawie mimo wiedzy sejmu, uformowawszy silną piechotę, za pomocą dozwolonego mu poboru i prywatnych zasiłków od możniejszych, których przywiązanie pozyskał, zdołał wystawić sto tysięcy regularnego wojska, co dotąd było rzeczą niesłychaną na Północy. Współcześnie zajmował się ustanowieniem ciągłych trybunałów, i urządzał Kozaków, osiadłych nad Dnieprem, nadawał im ziemie i przywileje, łączył ściślej z rzecząpospolitą. Wszystkie te kroki zupełnie przygotowane pierwej przez króla, szły pod zatwierdzenie sejmu. Tak walcząc przeciwko woli własnego narodu, przeciwko własnym poddanym, wyprawił się nareszcie po trzeci raz do Moskwy.

Chodziło mu teraz o zdobycie Pskowa, ostatniej wielkiej warowni, zasłaniającej stolicę moskiewską. Ale oblężenie szło niepomyślnie. Załoga twierdzy, równa sile nieprzyjacielskiej, broniła się dzielnie. Zimna i choroby niszczyły Polaków, osłabiały ducha w obozie polskim.

Trudno było ten stan rzeczy zataić przed Moskalami, zwłaszcza, że znajdowali się nikczemnicy, zdrajcy, z pomiędzy nawet wysokich dostojników polskich, którzy, donosząc Iwanowi o wszystkiem, zachęcali go, aby tylko wytrwał, a wkrótce ujrzy odwrót króla. Z jednej strony, pewien senator, zbadawszy religijne skłonności i zamysły Batorego, przez zawziętość sektarską, kopał pod nim dołki; z drugiej, niemniej występny biskup, chcąc oddać tron polski w ręce austrjackie, pragnął go zgubić.

Pośród tych trudności, przybył sławny jezuita, Possewin, przysłany od papieża, aby starał się zrobić pokój między Polską i Moskwą. Wielki książę bowiem obiecywał stolicy rzymskiej przyłączyć się z całem swem państwem do Kościoła zachodniego; powiadał, że miał oddawna ten zamiar, i właśnie pracował nad przywiedzeniem go do skutku, kiedy mu król Stefan pomięszał wszystko swoim napadem; przyrzekał, że skoro tylko zostanie uwolniony od Polaków, zwoła natychmiast synod, ułatwi kwestje religijne, i zajmie się zupełnie wyprawą na Turków, co natenczas było głównym widokiem gabinetu papieskiego.

Mimo całą swą przebiegłość, jezuita dał się oszukać wielkiemu księciu moskiewskiemu, bo działał z dobrą wiarą i z prawdziwą gorliwością ku sprawie Kościoła, a Iwan myślił tylko jakby pozbyć się Polaków.

Oto są własne słowa Possewina, pisane do papieża o wielkim księciu:

„Zamiast straszliwego monarchy, znalazłem uprzejmego gospodarza, siedzącego za stołem wśród mile częstowanych gości, którym sam rozdawał potrawy i nalewał wina. Jednego razu car, oparłszy się na stole, rzekł do mnie głośno: Posil się dobrze winem i pokarmem; strudzony jesteś daleką podróżą od Ojca Św., od Głowy Kościoła powszechnego, dla którego mam cześć najgłębszą".

Wskutek rozpoczętych układów, zawarto naprzód zawieszenie broni, a potem i pokój. Possewin wmawiał w wielkiego księcia, że król Stefan dał się ugiąć jedynie jego naleganiom, ale miał on inne, ważne przyczyny przerwania wojny.

Podczas wojny z Polską, wielki książę popełnił najokropniejszą ze swoich zbrodni, zabił własną ręką starszego syna. Młodzieniec ten rozpustny i okrutny, jak jego ojciec, prosił go, żeby mu pozwolił pójść z wojskiem, wyprawianem przeciwko Polakom. Iwan wziął tę prośbę za postępek, uchybiający posłuszeństwu, i sławną swoją laską tak go uderzył w głowę, że rozszczepał czaszkę. Zamordowany syn, konając u nóg niewzruszonego bynajmniej ojca, jako prawdziwy Rosjanin, wołał, że umiera wiernym i uległym poddanym.

Iwan skonał, jak żył przez ostatnich lat kil-

kanaście, bez najmniejszego znaku skruchy, bez najmniejszej myśli cnotliwej. Historyk rosyjski z tego powodu robi uwagę, że nie było dla niego powrotu, bo przestąpił ostatnią granicę zbrodni, zanurzył się zbyt głęboko w piekle, aby mógł wybrnąć, i upamiętanie się jego odebrałoby światu wiarę w sprawiedliwość Opatrzności. Tenże historyk czyniąc postrzeżenie, że wszyscy jego zausznicy, wszyscy wykonawcy jego okrucieństw poginęli z jego rozkazu, prócz jednego Małuty, który był najsroższy, najzakamienialszy i najpodlejszy, dodaje, iż ci dwaj ludzie musieli pozostać zachowani wyrokowi straszniejszego sądu, niżeli ziemski.

Niechajże kto teraz wytłumaczy sobie popularność Iwana. Płakał po nim cały naród. Skoro rozeszła się wieść o jego śmierci, lud biegał po ulicach, zalewając się łzami i wyjąc z rozpaczy; rodziny nawet pomordowanych przez niego ofiar, były nieutulone w żalu, przywdziewały ciężką żałobę. Historjograf rosyjski zatrzymuje się tutaj osłupiały z zadziwienia; nie wie sam, jak to wyłożyć. Postrzegano jednak nieraz, że gmin znikczemniony zawsze ma skłonność do okrucieństwa, lubi widowiska krwawe, ciśnie się tłumami na publiczny plac kary, niezdolny jest pojmować innej siły, prócz niszczącej, i sile tej oddaje cześć odpowiednią stopniowi własnego spodlenia, własnej nizkości. Przykłady podobne dają się widzieć równie w narodach cywilizo-

wanych, jak i barbarzyńskich, To uwielbienie pierwiastku zagłady, mocy niszczącej, zdaje się zależeć nie od ciemnoty umysłowej, ale raczej od barbarzyńswa umysłowego.

Wielki książę moskiewski, Iwan Okrutny, był niezawodnie tyranem najzupełniejszym z pomiędzy tych, jacy są znani w dziejach świata. Łączył on w sobie wszystkie charaktery, albo właściwiej mówiąc, posiadał szczególniejszy dar, niezmierną łatwość przybierania na przemian wszystkich charakterów tyranji. Raz zdawał się być płochym i rozpustnym, jak Neron, drugi raz głupim i dzikim, jak Kaligula. Niekiedy okazywał zimną układność Ludwika XI. Czasem używał w listach wyrażeń Tyberjuszowskich. Czytając jego korespondencje i mowy, można napotkać obok rozwlekłych i obłudnych gadanin na wzór Kromwella zwięzły i cukrowny styl Robespiera, który podnosił głos przeciw karze śmierci i obstawał za prawami ludzkości.

Cokolwiek powiedzieliśmy o wielkim księciu Iwanie, jest wyjęte z urzędowej historji rosyjskiej; bo narody słowiańskie, wiodące z sobą długą walkę nieukończoną jeszcze, w rozmaity sposób piszą swoje dzieje, a ponieważ idzie nam tutaj nietyle o poznanie strony politycznej, jak o wiadomości, potrzebne do rozumienia pomników literackich, sądziliśmy, iż świadectwa pisarzy narodowych będą dostateczne. Autor tej historji, Karamzin, zapewne bez przesady opisy-

wał zbrodnie Iwana; często nawet powtarza, że chciał czytelnika i siebie uwolnić od wielu okropnych wrażeń: my zaś także pominęliśmy mnóstwo szkaradnych szczegółów, jakie on podaje. *(K. I. 36 i 37).*

PATRJOTYZM WEDŁUG SKARGI.

Potrzeba wyłożyć, co to był ten patrjotyzm Skargi, jakie on miał pojęcie Ojczyzny, które ukazuje się w jego dziełach.

Zawiązek tego pojęcia dawał się już nam widzieć w dziejach bajecznych Polski, w najdawniejszych podaniach kronikarzy, w pismach Wincentego Kadłubka, który wyrzekł, że miłość ojczyzny jest przemożna jak śmierć, w powieści zmyślonej żywotopisarza św. Stanisława o tej koronie, co odebrana Polsce cudownie, miała znowu być jej zwrócona, nakoniec w historji Długosza; ale dopiero Skarga wyłuszcza, rozwija to pojęcie, i w słowach swoich stawia je zupełnie przed oczy.

Skarga miłuje Ojczyznę nie dlatego, że jest jego ziemią rodzinną, ale, że jest, jak powiada, ustanowieniem Bożem. Bóg stwarza narody, nadaje im różne posłannictwa, a stosownie do tych mają one właściwe sobie obowiązki. Słowem, narody u Skargi są to jakby osobne stworzenia, jakby jakie jestestwa organiczne rozmaitego ro-

dzaju. Poczynają się one z miłości Bożej, a prowadzi je mądrość. Ale ta mądrość jest wieloraka. Jest jedna djabelska, która dowcip swój obraca na zdrady i szkody ludzkie, przez grzechy oszukania i kłamstwa, sławy świeckiej i dobrego mienia dostając; ta przewodniczy piekielnikom, narodom piekłu zaprzedanym. Jest druga mądrość ziemska, której cały rozum w dostawaniu, zatrzymywaniu i mnożeniu dóbr tego świata; taką mądrość mają politycy dzisiejsi (dodaje Skarga), którzy nauczają panów i królów, aby tylko doczesnego pokoju i dobrego bytu poddanych swoich pilnując, zbawiennych potrzeb ich zaniechali. Jest nakoniec mądrość niebieska, przenikająca tajemnice Opatrzności; nie można jej inaczej nabyć, jak przez świątobliwość. Tą mądrością opatrzeni byli Józef, Mojżesz, Machabeusze i t. d. Podobni mężowie poznają drogi, zakreślone narodowi od Boga, i są powołani wprowadzać na nie swój naród.

Takie są wyobrażenia skargi. W całej historji widzi on tylko dwa ludy, które odpowiadają wysokiemu jego pojęciu Ojczyzny: lud wybrany, to jest hebrajski, i lud polski. Za dowód szczególniejszego błogosławieństwa nad Polską uważa naprzód to, że Opatrzność obdarzyła ją długim szeregiem królów, między którymi nie było żadnego tyrana, i nawet Bolesławowi Śmiałemu, jedynemu z pomiędzy nich mordercy, dozwoliła zbrodnię tę odpokutować przed śmiercią; po-

wtóre, że Polska, ostatnie państwo chrześćjańskie, stoi jako przedmurze cywilizacji na Północy, nakoniec, iż posiada wolność wynikającą z konstytucji zupełnie takiej, jaka jest w organizmie ludzkim, gdzie serce i głowa nie mają władzy despotycznej nad członkami, ale są tem w ciele, czem religja i rząd królewski w rzeczypospolitej. Dlatego też wolność tę nazywa Skarga wolnością złotą, używając wyrażenia, które należy brać w jego znaczeniu tajemniczem. — Złoto, jak wiadomo, w średnich wiekach znaczyło często doskonałość, wyciąg najczystszy; podług alchemików było to światło zgęszczone. Adepci umiejętności tajemnych szukali tego złota, co miało dać zdrowie i życie wieczne. W tem to znaczeniu, bullę ustawodawczą cesarstwa niemieckiego nazwano bullą złotą; w tem znaczeniu także Skarga i późniejsi pisarze wolność polską nazywali wolnością złotą, to jest najzupełniejszą, która każdemu obywatelowi zostawiała całą swobodę działania i całą odpowiedzialność za jej nadużycie.

Skarga kochał i ochraniał Polskę, jako nową Jerozolimę, na którą Bóg zlał wielkie obietnice. Ale Polska, jaką on pojmował, była tylko w jego myśli; oddzielał ją nawet od ludzi. Ludzie, zdaniem jego, zdradzają tę ojczyznę, zbudowaną przez Opatrzność, przeniewierzają się swemu posłannictwu. Na generację, do której mówił, patrzał, jako na występną, jako na idącą drogą

błędną do strasznych nieszczęść. Przetoż, raz, kiedy stanie mu w oczach owa Ojczyzna Boża, zrealizowana na ziemi przez cnoty przodków i patronów Polski, podnosi głos błogosławiący; drugi raz, kiedy weźmie przed się zbrodnie i złości współczesnych, złorzeczy i grozi. *(K. I. 40)*.

VETO.

Za panowania Jana Kazimierza jeden szlachcic w kole sejmowem wyrzekł to słowo straszliwe, którego lękano się już oddawna, które miało moc przeciąć obrady, zatrzymać ruch władzy narodowej: wyrzekł veto!

Prawo, nadające taką wagę pojedyńczemu zaprzeczeniu, nie było wynalazkiem Polaków; ślad jego daje się dostrzegać w najdawniejszych wiekach u wszystkich gmin słowiańskich; tam własność, pożytki i obowiązki były wspólne, i każdy używał niejako całkowitej władzy, mógł przeciw postanowieniu innych odezwać się: nie pozwalam. Był jednak sposób na podobne przypadki: przemocą, kijami zmuszano opornego do głosowania po myśli ogółu. Veto miało miejsce również w gminach Rosji i Czech.

Po utworzeniu się państwa polskiego teorja veto uległa wielorakim przemianom pod wpływem pojęć cudzoziemskich, rzymskich mianowicie; skrzywiono bowiem wyobrażenia naro-

dowe, mieszając znaczenie posłów ze znaczeniem trybunów.

Cóż więc było w Polsce to veto? Jak je pogodzić z trwałością społeczeństwa?

Wiadomo, że zdaniem filozofów, społeczeństwo jest skutkiem tej powszechnej zgody jego członków, mocą której każdy z nich zrzeka się części praw osobistych na korzyść ogólną. Dotąd niemasz różnicy między filozofami: ale dalej zachodzi rozdwojenie. Jedni, składający szkołę, dziś zwaną szkołą legitymistów, a bardzo dawną, bo pochodzącą od Platona, rozumieją, że to zrzeczenie się praw prywatnych, dzieje się na rzecz jednej rodziny, familji królewskiej, która wyobraża społeczeństwo, i gdy raz została obdarzona berłem, nikt już nie może cofnąć swojej wolności, oddanej w jej ręce, nie może zmieniać rządu, aż póki dom panujący nie wygaśnie, i Opatrzność nie powoła tym sposobem wszystkich członków społeczności do nowego wyboru innej rodziny na tron. Druga szkoła filozoficzna utrzymuje przeciwnie, że interesy społeczeństwa powinny być reprezentowane przez samychże jego członków, a większość tych jest wszechwładną, posiada nieograniczoną władzę absolutnego pana, i mniejszość nie może odłączyć się od niej, zawsze musi być jej poddanką.

Wyobrażenia polskie nie dają się podciągnąć pod żadną z tych teorji. Wedle nich każdy człowiek, będący cząstką całości politycznej, nie prze-

staje nigdy praw swoich używać, wolen jest zawsze wyjść ze społeczeństwa: jestto wolność osobista, posuniona do najdalszego kresu. Wolność tę może on podczas obrad poświęcić rzeczy publicznej, ale także ma moc zawsze ją zachować; jestto stan, wymagający po obywatelu tej ciągłej ofiary, jakiej religja wymaga podobnież po sumieniu chrześćjanina. Polak uważa się być podległym społeczeństwu nie dlatego, że go tu wpisali przodkowie, ale, że sam je poślubił, jako najsprawiedliwsze, najlepsze i najpiękniejsze; przyznaje też sobie prawo nietylko je opuścić, ale wstrzymać, gdyby widział, że schodzi na błędną drogę, rozmija się z właściwym mu celem.

Pojęcia te są logiczne, logiczniejsze od owych, na których filozofowie, legitymiści i demokraci gruntują budowy społeczeństw. Istotnie, jeśli niesłuszna jest żądać, żeby człowiek poddawał się ślepo cudzej woli, z drugiej strony niektórzy bardzo wygórowani publicyści demokratyczni dostrzegają już, że zdanie większości nie może być prawem absolutnem, że błędnie jest mniemać, aby większość jakiegokolwiek kraju albo stowarzyszenia posiadała wiadomość powszechną, światło najwyższe.

Konstytucja polska przyznawała pojedyńczym członkom społeczeństwa niezmierne prawa, ale też wkładała na nich obowiązki niezmierne, wymagała po nich cnót nadzwyczajnych. To tłumaczy nam dlaczego uczeni, biskupi, senatorowie polscy

a nawet Rej w swojem *Źwierciadle*, uważali zawsze sejmy i wszelkie obrady polityczne, jakby za jakiś obrządek religijnej ofiary, zalecali przystępować do tych aktów z oczyszczonem sumieniem, z zebranym i wzniesionym duchem: każdy poseł, każdy nawet szlachcic, podług myśli ustawy narodowej, miał na sobie charakter niejakiego kapłaństwa.

Skoro więc wzniosłych cnót zabrakło, skoro ludność ustała w doskonaleniu się moralnem, społeczeństwo takie musiało zatrzymać się i upaść.

Co jest godne zastanowienia, to, że sejm, usłyszawszy wyrzeczone *veto*, nie pomyślał nawet znaglić Sicińskiego, aby je cofnął, ale przerażony i smutny, rozszedł się w milczeniu.

Zebrawszy w jedno, co się powiedziało o elekcji i o veto, widać wielkie podobieństwo między konstytucją narodową polską a konstytucją Kościoła rzymskiego. Konklawe, takie nawet, jak dziś jest opisane po wielu zmianach przez papieżów, wymaga również jednomyślności, zawsze domniemanej, chociażby nie znajdowała się rzeczywiście. Potrzeba zdania jednomyślnego, stanowi jeszcze konieczny warunek wyroku i w sądach przysięgłych w Anglji. Ale wszędy starano się to niebezpieczne prawo obwarować mądremi środkami; Polacy tylko na nieszczęście zaniechali ująć je w ścisłe formy, i z przewidzeniem zapobiedz nadużyciom. Kiedy Kościół rzymski zamyka swoich kardynałów, umartwia postem,

ogładza, jeśli się nie mogą zgodzić; kiedy niemniej surowo trzymani są przysięgli angielscy — w Polsce przeciwnie, był zwyczaj dawać bankiety, częstować, rozpajać ciało obradujące. Tu, gdzie wszystko zależało od dobrej woli i nieustannych poświęceń się każdego, gdzie żołnierz, nawet służąc nie dla żołdu, mając wolność w każdym czasie opuścić wojsko, za największą karę mógł być tylko wygnanym z szeregów, tu surowość obyczajów, wytężenie ducha były istotnemi zasadami publicznego życia. Gdy osłabła wola, gdy nie chciano już czynić z siebie ofiar, rzeczpospolita musiała naprzód zatrzymać się w swej drodze, a następnie doświadczyć nieszczęść, które Opatrzność zesłała na nią, aby naprawić, co się zepsuło. *(K. II. 5).*

PIOTR WIELKI.

Historja młodości Piotra Wielkiego jest dosyć znajoma. Obyczajem książąt rosyjskich, pędził pierwsze lata, otoczony gronem różnego rodzaju śmieszków, błaznów nadwornych, prawie wszystko z zagranicy, z Inflant, z Niemiec, z Francji, z Anglji sprowadzanych dla jego rozrywki i zabawy. Ale Piotr, zamiast zniewieścieć w tłumie nikczemnych służalców, utworzył z nich ten pierwszy bataljon podług autoramentu niemieckiego, który później stał się zawiązkiem armji

rosyjskiej. W tym batalijonie począł on sam służbę od dobosza i szedł przez wszystkie stopnie, pilnując się tak ściśle, że nawet po wielkich zwycięstwach nie chciał przeskoczyć starszeństwa wojskowego. Około tegoż czasu, znalazłszy w magazynie starą szalupę angielską, kazał ją wyporządzić, i trawił całe godziny na ćwiczeniu się w obrotach żeglarskich. Jednego z faworytów swoich, Genewczyka, Leforta, mianował jenerałem siły zbrojnej, której jeszcze nie było, innego admirałem marynarki, o której tylko marzył; wszakże umierając, zostawił rzeczywiście potężną armję i flotę, znakomitą pomiędzy pierwszemi w Europie.

Rozmowy z przybocznymi cudzoziemcami, obudzając ciekawość i razem żądze zdobywcze, natchnęły Piotrowi myśl, która później stała się zasadą polityki rosyjskiej. Zamierzył on sobie nie tak, jak jego poprzednicy, wprowadzić Europę do Rosji, ale Rosję do Europy: nabrać z Europy sił i środków na zwyciężenie i podbicie jej samej. W tym celu przedsięwziął podróże: zwiedził Niemcy, Holandję, Anglję, wszędzie z siekierą w ręku ucząc się budownictwa okrętów, poznając pilnie, co tylko mogło być przydatnem i materjalnie użytecznem, przesyłając do Rosji statki, pełne inżynierów, architektów, lekarzy, nawerbowanych zagranicą.

Gwałtowny rokosz strzelców, ostatni ruch

rewolucyjny szczero-rosyjski odwołał go nagle do kraju.

Po wytępieniu bojarów, nie było już w carstwie tej armji narodowej słowiańskiej, co składała się ze szlachty, dowodzącej hufcami swojej czeladzi; zastąpiło ją wojsko płatne, przywiązane do osoby monarszej, czego nie znano dawniej w Rosji. Jednak w tem zbiorowisku zaciążnem tkwiły jeszcze wyobrażenia, zwyczaje i przesądy dawne rosyjskie. Strzelcy trzymali się religji narodowej, podzielali upodobania i nienawiści powszechne, byli pod wpływem opinji publicznej. Stronnictwa używały tej siły, zawsze gotowej, za narzędzie do spychania się nawzajem. Podburzona czereda zbrojna rzucała się na pałac, dopominała się gwałtownie nie zmiany formy rządu lub systemu politycznego, nie zawarcia jakiego przymierza albo wypowiedzenia wojny, ale tylko zguby tego lub owego faworyta, usunięcia tego lub owego jenerała. Teraz chodziło o to, żeby wyzwolić, jak głoszono, z pod przemocy bratniej cara Iwana, który słaby na ciele i umyśle, razem z Piotrem i siostrą ich Zofją, tron zajmował. Poruszenie nie udało się, rokosz został poskromiony przez ów bataljon cudzoziemski, formacji Piotra, i wsparty przez część Moskali, pod dowództwem trzech przybyszów: Szkota, Niemca i Francuza, odniósł zupełne zwycięstwo.

...Znosząc do szczętu siłę zbrojną narodową

i tworząc armję, któraby machinalnie służyła woli carskiej, Piotr W. przedsiębrał razem powszechną reformę swego państwa: postanowił zeuropeizować Rosję. Język niemiecki podobał mu się szczególniej i został językiem dworu aż do Katarzyny II. — Kto chciał mieć łaskę u cara, musiał mówić po niemiecku; on sam tylko do swoich żołnierzy przemawiał po rosyjsku, musztrując ich wszakże na komendę dziwacznie złożoną z wyrazów holenderskich i niemieckich. Wszystko, co miało cechę narodowości rosyjskiej, obudzało w nim wstręt i wzgardę: kazał ludowi golić brody, wydał przepisy stroju dla kobiet, które dawniej zwykle odosobnione od mężczyzn, teraz musiały ukazywać się publicznie, bywać na zabawach dworskich, kłaniać się, dygać, chodzić, trzymać ręce podług reguł ułożonego na to ceremonjału. Te tak zwane bale dworu, kończyły się najczęściej zgorszeniem. — Europa wszakże uważała reformatorstwo Piotra za olbrzymi postęp ku cywilizacji.

Żeby zbliżyć Rosję do Europy, szukał on innej drogi, starał się koniecznie o port na brzegu morza Bałtyckiego. Odtąd moc słowiańska, która za Ruryków ciążyła ku Wschodowi, przechyla się na Zachód; odtąd gabinet rosyjski wojnę azjatycką uważa tylko za niejaki rodzaj ćwiczeń militarnych, nie dba o zabory w tej stronie, a całą politykę i siłę wytęża na zdobycze europejskie.

Potrzeba dla Rosji portu bałtyckiego zrodziła sławną w XVIII wieku wojnę szwedzką. Piotr chciał wziąć Narwę i budował stolicę nad Bałtykiem; Karol XII wylądowawszy z wojskiem, rozpoczął ten szereg zwycięstw, który zakończył się klęską pod Połtawą.

Karol XII dziedziczył po swoich przodkach ducha wojennego i miał piękną armję, utworzoną przez się; ale ze swego sposobu myślenia należał już do wieku XVIII: nie tchnął już zapałem religijnym, jak Gustaw Adolf i Karol XI, liczył tylko na siłę materjalną, i postrzegł zapóźno, że cała potęga szwedzka była w tym entuzjazmie protestanckim, który trwając ledwo lat 50, zgasł przed nim. —

— Polityka rosyjska, pochłonąwszy żywioł słowiański Rosji, chce sama uchodzić za słowiańską, za wyobrazicielkę potęgi plemiennej, i od początku wieku XVIII, gniotąc Polskę, stara się położyć rękę na wszystkich ludach pobratymczych od ujścia Dunaju aż do Czarnej Góry. Trzeba więc zobaczyć, czy istotnie ma ona historyczny charakter tego rodu, aby wiedzieć, ażali płody literackie ducha rosyjskiego, pomniki, wydane z rozkazu i natchnienia rządu carów, są rzeczywiście słowiańskie.

Możnaby w tym względzie zrobić sobie raz na zawsze formułę, wyciągniętą z historji dawnej i powiedzieć, że od czasu założenia stolicy w Moskwie, ciągłem usiłowaniem jej książąt było

odebrać prowincjom wszelką siłę żywotną, żeby ją zamknąć naprzód w Wielkiem Księstwie Moskiewskiem, potem w osobie samodzierżcy.

Tak tedy po upadku książąt udzielnych, wzrosły ciężar zgniótł całą ludność Nowogrodu, Tweru, Pskowa i t. d.; bojarowie moskiewscy władali z ramienia wielkich książąt opanowaną ziemią. Przyszła kolej na bojarów, wygubiono ich za pomocą strelicćw, czyli armji regularnej carów Moskwy. Nakoniec, strelicy doświadczyli podobnegoż losu od armji nowej, złożonej z krajowców, pod dowództwem cudzoziemców. Ci cudzoziemcy winni swój byt, swoje znaczenie, swoją przyszłość panującemu, pochodzili już i zależeli tylko od jego woli. Tym porządkiem robota środkowania dokonała się za Piotra W.

Piotr, pochłonąwszy ostatek życia narodowego, począł je wydawać, rozpuszczać niejako po martwej powierzchni kraju myśl swoją, mnożyć własne jestestwo w szeregu władz zawisłych od siebie: tworzył jenerałów, oficerów, całą hierarchję wojskową i cywilną. Wojsko jest ramieniem prawem, najmocniejszem, samowładztwa carskiego. Organizacja techniczna jego może tu nas nie zastanawiać; ale trzeba zbadać duch, ideę moralną tej masy, przejętej jednem życiem, bo z jej łona wyszła nowożytna literatura rosyjska. Przez nią to narzecze teraz będące językiem państwa, zajęło miejsce dawnego narzecza ruskiego. Prawie wszyscy literaci w Rosji

byli wojskowymi, dziś nawet wojsko stanowi jeszcze publiczność rosyjską, która czyta, osądza, daje ton literaturze. Historja więc armji rosyjskiej pod względem literackim zasługuje na uwagę.

Wiadomo, że wszystkie wojska w Europie wzięły początek z dawniejszego rycerstwa; karność ich nawet uszlachetniła się resztkami zwyczajów i wspomnień, zostawionych przez zakony zbrojne; wyobrażenie honoru żołnierskiego jest ostatnim zabytkiem ówczesnych pojęć rycerskich, jakie przynajmniej po tej stronie Alp przetrwały aż do wojny trzydziestoletniej. Dopiero Wallenstein i inni wodzowie niemieccy, zmuszeni nadstarczać sobie werbunkiem najemnym, zmienili charakter stanu wojskowego. Od tego czasu oficerowie poczęli uważać zawód militarny za drogę ambicji, żołnierze za rzemiosło.

Piotr W., tworząc swoją armję z zarodku niemieckiego, nabierzmował ją karnością strachu. Sam pierwszy poddał się przepisanemu dla niej regulaminowi. Słowianin, postawiony w tych szeregach, mógłże nie truchleć przed oficerem Niemcem, który komenderował samym carem, który skinieniem swojej szpady albo trzciny, w lewo i w prawo obracał osobą straszliwego monarchy? Ta władza, jakby czarnoksięska, obudzała w ludzie dobrodusznym bojaźń niemal zabobonną. Wszystko zresztą: mundur, szlify, szarfa — były dla niego nadzwyczajną nowością, dziwem. Chłop rosyjski, nie znający przedtem su-

kna, ledwo śmiał dotknąć się go palcami; przywykły złoto i srebro widzieć tylko w ozdobach cerkiewnych, czuł głębokie uszanowanie dla samego już ubioru oficera, słowem, widok głównego sztabu sprawiał na żołnierzu takie wrażenie, jakie, naprzykład, sprawiać może procesja na człowieku pobożnym. Dodajmy do tego srogi regulamin, który karę cielesną i życie żołnierza zostawia dowolności starszych.

Armja Piotra składała się naprzód z mieszkańców ziem, najbliższych Moskwy, z tej ludności od tylu czasów już pomieszanej z krwią różnych plemion. Przeniesiono później zakłady pułków do Petersburga i napełniano je ludem fińskim. Zawiązek tedy wojska, pochodząc z gubernji moskiewskiej, archangielskiej, nowogrodzkiej i przyległych, był wielkorosyjskim. Lud Wielkiej Rosji odznacza się pomiędzy innemi szczepami rodu słowiańskiego. Wysoki wzrostem, silny, barczysty, celuje bystrością umysłu, jest może pod tym względem najpierwszym w Europie, ale serce ma nieczułe i duszę zimną: nie lubi muzyki i śpiewu, jak Słowianie południowi; w oczach nosi jakiś wyraz szczególniejszy. Patrząc w te oczy, podobne do kropel zlodowaciałych, widzi się coś strasznego, coś nakształt głębi bez dna: światło odbija się od nich, ale nie płonie w soczewce. Jestto wzrok jasny, przeszywający, wzrok nie człowieka, ani zwierzęcia, ale raczej owadu. Żeby mieć wyobrażenie o nim,

trzeba wziąć pod szkło powiększające jaki owad i przyglądać się jego oczom nieruchomym, przeźroczystym, przenikliwym i zimnym.

Lud ten mówił djalektem bogatym, jak wszystkie narzecza słowiańskie, ale nie muzykalnym i nie poetycznym; nie pisano w nim pierwej. Dopiero w Petersburgu, gdzie prócz wojska nie było prawie mieszkańców, stał się on powszechnym, piśmiennym i administracyjnym. Piotr W. wymyślił i przez ukaz postanowił dla niego alfabet. Można go nazwać językiem Piotra W. Tym sposobem djalekt wielkorosyjski wyszedł na język urzędowy i prawodawczy całego państwa, w wielu prowincjach mający życie tylko oficjalne.

Słowianie południowi, z Małej i Białej Rusi, wchodząc do pułków petersburskich, przyjmowali pomału charakter Rosjan północnych. Żołnierz, brany do wojska na lat 20, 25, 30, 35, słowem na całe życie, bez nadziei zobaczenia kiedykolwiek rodzinnej ziemi, zmuszony ciągle ćwiczyć się w trudnej mustrze, albo wojować, zapominał rodziny, zwyczajów domowych, podań i pieśni, słyszanych w dzieciństwie. Pułk stawał się dla niego wszystkiem, ojczyzną, domem, społeczeństwem, mającem swoje tradycje, swoją historję. Armja rosyjska różni się od europejskich, jej pułki są wieczyste. Wszystko zmieniło się w Europie od czasu Piotra W. Kto dziś wie imiona regimentów za Ludwika XV, historję legji za rzeczypospolitej, albo nawet o-

wych sławnych półbrygad Napoleona? W Rosji pułki, które Piotr poformował, noszą zawsze te same nazwiska, wiele z nich dochowało dane przez niego sztandary i zabytki dawnego rynsztunku; bo widywano, że na polu bitwy żołnierze rosyjscy porzucali rannych, żeby unieść ich kaszkiety i szable. Pułki takie musiały pozyskać wyższość nad wojskiem polskiem, materjał ich był rozmaitszy i tęższy: Rosjanie, Finny, Małorusini, Niemcy, wszystko to stopione i zlane w jedną całość siłą strachu.

Utworzywszy swoje wojsko Piotr W. wziął się do cywilnej organizacji państwa na tych samych zasadach i całą ludność podciągnął pod rozdział 14 klas, czyli stopni. Wedle tej myśli carskiej — Rosja jest niejako pułkiem: każdy w niej uważa się za objętego kontrolą. Administracja tu nie wypływa z potrzeb kraju, ale kraj jest dla niej potrzebą; nie ona spełnia posługę w państwie, ale państwo jej służy: administracja sama jest państwem. Ci, którzy w Rosji nie należą do służby, są nakształt luźnej czeredy przy wojsku angielskiem w Indjach, przeznaczonej tylko karmić je i opatrywać. Ponieważ każdy w państwie rosyjskiem powinien być jakimś czynownikiem rządowym; kto więc niema stopnia, ten niema miejsca w społeczeństwie, jeśli jest bogatym, nie wie co z sobą robić, jak ochotnik wśród szyków regularnych, nie znajdując gdzieby stanąć, plącze się tylko i miesza

porządek. Stopień w Rosji nie daje jeszcze urzędu, ale bez stopnia nie można zostać urzędnikiem.

Podobną hierarchję chciano niegdyś zaprowadzić w cesarstwie bizantyńskiem, ale cesarstwo to nie miało już sił do wykonania tego pomysłu. Można coś podobnego widzieć w Chinach, ale tam klasyfikacja rozciąga się tylko do mandarynów, w Rosji zaś obejmuje całą ludność.

Organizm ten istotnie jest najracjonalniejszy. Wychodzi się tu z tej zasady, że człowiek tyle waży w społeczeństwie, ile chce mu służyć albo usłużył; gorliwość i starszeństwo służby stanowi całą wartość człowieka w Rosji, żaden inny warunek, żaden przymiot zewnętrzny lub moralny nic nie znaczy w oczach rządu, który jest całem społeczeństwem, posiada wszystkie jego prawa. Nigdzie nie zdołano pojęć wieku XVIII zastosować tak doskonale; nigdzie nie zamieniono ich w systemat, któryby tak karmił interes ambicji osobistej i miłości własnej. Z wejściem w służbę otwiera się ponętny widok coraz wyższych stopni; w oczekiwaniu między jednym a drugim, dodają ochoty rozmaite dekoracje, których jest ze trzydzieści, reskrypty, podziękowania monarsze i t. d. Ciągła żądza i nadzieja rang, orderów, zysków, nagród, wzrastająca z każdym ich nabytkiem, staje się nakoniec jedyną ideą życia, pochłania wszystkie władze duszy, zamienia człowieka w narzędzie, w automat, poruszany myślą rządową. *(K. II. 6 i 7).*

SKARGI CHŁOPÓW NA UCISK. BUNTY KOZACKIE.

Powszechnie mówią o nędzy ludu słowiańskiego w wielu okolicach Polski i Rosji; malują żywemi kolorami biedę tamecznego chłopa, który, żyjąc w lichej chałupie, częstokroć doświadczając głodu, wystawiony jest jeszcze na razy batoga. Skądże to jednak pochodzi, że do czasów upadku Polski w pieśniach gminnych tego ludu nie słychać żadnej skargi? Czemu ten chłop pierwej nie żalił się nigdy na ucisk, głód, batog? Oto, że dopiero, kiedy zabraknie siły moralnej, człowiek poczyna czuć cierpienie fizyczne. — Dopóki chłop polski widział szlachcica obok siebie, przy gospodarce, na polowaniu, na wojnie; dopóki rozumiał potrzebę jego wydatków na posługę publiczną, na konie, na oręż, póty bez szemrania pozwalał mu sprzedawać plon swojej pracy, miał siłę znieść niedostatek. Ale kiedy ten szlachcic przestał zaglądać do chaty chłopa, polować z nim, i biegać konno, kiedy otoczył się towarzystwem cudzoziemskiem, za zboże włościańskie sprowadzał z zagranicy pojazdy, stroje, sprzęty, których użytku chłop nie mógł pojąć, wtenczas nędza jego stała mu się gorzką, począł umierać z głodu. Wszakże to wiadomo, że Tatarzy mniej jedzą od włościan polskich, Trapiści mniej jeszcze od

Tatarów, a przecież dobrze się mają, bo utrzymuje ich siła moralna.

Podobnie daje się wytłómaczyć rzecz i co do batoga. Bolesność kary zależy wiele od wyobrażenia, jakie się do niej przywiązuje. Jednego z książąt azjatyckich, który zdobywszy cztery królestwa, nie zdołał podbić Japonji, Wielki Mongoł kazał rozciągnąć przed wojskiem i wyliczyć mu sto nahajów. Wojownik, zdobywca królestw, nie uważał się jednak za ukaranego srodze, bo wstał tak dostojnym w oczach innych, jak był przedtem, a ból kładł narówni z bólem ran, odnoszonych w wojnie. Bojar rosyjski za czasów Iwana, a nawet później, nie poczytywał sobie za hańbę odbierać razy kija z ręki panującego; nie zniósłby tej kary, umarłby ze wstydu, gdyby była mu zadana od cudzoziemca. Włościanin w Polsce przebaczał gwałtowność rycerskiemu Sarmacie, ale smagany harapem przez szlachcica-eleganta, poczuł ból w głębi duszy. Z upowszechnieniem życia salonowego pomiędzy szlachtą polską poczyna się narzekanie na nędzę w pieśniach ludu polskiego.

Reformatorowie teraźniejsi, ciągle mówiąc tylko o nędzy fizycznej ludu słowiańskiego, nie mają na względzie jego cierpień moralnych. Nigdy ten lud nie usłucha człowieka, któryby rozdawał mu ziemię i pieniądze, jeśli ów człowiek nie będzie miał moralnej wyższości nad nim, w dobrem lub złem. Nikt nie zaimponuje chłopu

polskiemu ani bogactwem, ani żadnym tytułem i blaskiem, ale zawsze będzie nim władał, kto go potrafi przejąć zapałem albo strachem.

Nastręcza się tu uwaga nad przyczyną wojen kozackich. Polacy sami dziś wyznają, że przez niesprawiedliwość przywiedli kozaków do buntu; ale dzieje tej niesprawiedliwości, wystawiane są w sposób fałszywy i niedorzeczny. Zwyczajnie mówią o żdzierstwie, ucisku, chłoście, katuszach. Mamy urzędowy dokument, że nie to było istotnym powodem: w pieśniach ludu kozackiego nic o tem nie masz; najmocniejsze w nich skargi są tylko na zbyteczną zalotność Lachów. Kozacy byli dostatni, dostatniejsi od innych chłopów polskich: nikt też nie wydzierał im własności, o którą zresztą mało dbali. Pułkowódzca zaporoski, wracając z jarmarku w atłasie i galonach, przepijał swój zarobek do ostatniego grosza i lazł w beczkę dziegciu, żeby powrócić nie bogatszym, jak wyszedł. Taki człowiek zapewne nie podnosiłby buntu dla kawałka zabranej mu roli, ale oburzył się, kiedy go dotknięto moralnie, kiedy mu chciano narzucić religję obcą, kiedy dano mu uczuć jego niższość, odmawiając przywileju należenia do wyboru króla.

...Podniosły się później narzekania na języki francuski i niemiecki, że wynarodowiły szlachtę słowiańską; pisano o tem wiele książek, w komedjach wyśmiewano zcudzoziemczałość mowy.

Ale jestto powierzchowny sposób uważania rzeczy. Złe pochodzi nie z języków obcych, krzewi się pierwej od nich, wszczyna się w wychowaniu. Języka nie można nauczyć, trzeba go wszczepić. Mowa obca nie przyjmuje się bez żywego głosu, giestu, przykładu: książki nie psują narodów, przykład ludzi żyjących zaraża je zepsuciem. Przybysze z Francji i Niemiec wynarodawiali szlachtę, nie przez swój język, ale przez swój sposób nauczania.

Guwerner Niemiec, poczynając z dzieckiem od definicji, idąc potem do wniosków i konkluzji, postępując ciągle trybem racjonalnej filozofji niemieckiej, działał sztucznie na jego inteligiencję, wpędzał w nią wszystkie siły, rozwijał ją kosztem ducha, przerabiał swego ucznia na zupełnego Niemca. Tak zniemczony duch słowiański, musiał naturalnie i wyrażać się po niemiecku, potrzebował języka niemieckiego, narodowy już mu nie wystarczał.

Guwerner Francuz, który dawał lekcje, bawiąc, wydobywał z każdej rzeczy śmieszność, uczył chwytać drobne odcienia wyrazów, układać grę słów, uważać we wszystkiem stronę powierzchowną, starać się najbardziej o pokazanie dowcipu, czynił swoich wychowańców Francuzami wewnątrz. Wtedy język francuski stawał się im koniecznie potrzebnym, we własnym nie znajdowali nic, coby mogło oddać ich pojęcia.

Tym sposobem Rosjanie i Polacy, sami tego

nie czując, zamieniali się w Niemców i Francuzów. Mnóstwo jest książek w tym przedmiocie pisanych po rosyjsku i po polsku, z udawaniem nawet czystego stylu narodowego, które jednak zupełnie są cudzoziemskiemi, nie mają w sobie ani źdźbła słowiańszczyzny. Odtąd zaszedł ostateczny rozbrat między panem a włościaninem; już nie mogli się oni rozumieć: na jedną rzecz patrząc, każdy z nich przyglądał się jej w swój sposób, pojmował inaczej, wykładał różnym językiem.

W Czechach, jedynym w dziejach przykładem, cała klasa cywilizowana stała się wierutnie niemiecką, zapomniała nawet mówić po czesku. Polacy i Rosjanie, nie odstępując jeszcze mowy narodowej, niemniej jednak byli zcudzoziemczeni, jak Czesi niemieccy. Między szlachcicem a chłopem rosyjskim zachodziła taka różnica, jakiej nigdy nie było między baronem a rolnikiem francuskim. To koniecznie musiało prowadzić do czegoś strasznego nakoniec.

Jeden z najznakomitszych i najgłębszych historycznych badaczy polskich, Jan Potocki, pisząc w owych czasach, przeczuwał już niebezpieczeństwo takiego stanu rzeczy. Powiadał on, że okropna katastrofa grozi krajom słowiańskim, i jeżeli rewolucja zapali się na Północy, skutkiem jej koniecznym będzie wytępienie wszystkiego, co jest cywilizowane, i powrót tych stron do barbarzyństwa.

Ale co Potocki i inni współcześni pisarze rozumieli przez cywilizację, a co przez barbarzyństwo? Kto wedle nich był cywilizowanym, kto barbarzyńcem? Czy kmieć polski, cierpliwy w nędzy, zawsze gotów iść na obronę kraju, wierny swojej religji, nieodstępny obyczajów narodowych, był barbarzyńcem obok takiego, naprzykład księcia Ponińskiego, człowieka pełnego dowcipu, wychowanego bardzo dobrze, ale który zaprzedawał ojczyznę Moskwie, a cały majątek trwonił na rozpustę? Czy ten chłopek był barbarzyńcem w porównaniu z hrabią Gurowskim, błaznem nadwornym wielkiego księcia Piotra, później przez ambasadora rosyjskiego zalecanym królowi polskiemu na arcybiskupa Gnieźnieńskiego, który miał bezczelność publicznie wśród sejmu chełpić się ze swojej przedajności?

Podobnież chłop rosyjski, co, przeżegnawszy się, szedł przeciw działom tureckim na Izmajłów lub Oczaków, i padał w rów, ciałem swojem gotując dla innych przystęp do twierdzy, ten żołnierz posłuszny swemu monarsze, ścisły w pełnieniu obowiązków religji, jakiej go nauczono, jestże barbarzyńcem przy Orłowie lub Potemkinie, przy tych najzepsutszych ludziach XVIII wieku?

Potemkim stał się przedmiotem uwielbienia swego bjografa Niemca, że wydawał miljony na kuchnię, posyłał kurjerów po pasztety do Paryża,

na jeden nocleg stawiał przepyszne pałace w stepach krymskich; życie Orłowa było pasmem zbrodni najszkaradniejszych.

Widocznie tedy, że klasy upadłe w zupełne zepsucie, z łona których wychodziły jednostki tak niemoralne, musiały być kiedyś zniszczone przez lud zachowujący zawsze grunt tradycji dawnych. I zapewne, lepiej było dla ludów słowiańskich, żeby one były znikły, ale daleko lepiej, żeby się poprawiły. Pierwszy ratunek tym klasom przynieśli literaci ówcześni, podając im dzieła, gdzie obok idei francuskich i niemieckich, obok systemów cudzoziemskich, znalazły jakikolwiek żywioł narodowy; uczyły się choć powierzchownie języka narodowego, miały powód nie zapominać mowy krajowej. Tym sposobem literatura wydźwignęła je na wierzch, otworzyła im drzwi do przeszłości ojczystej, nie dopuściła tak zcudzoziemczeć, jak Czesi, którzy obrócili się w Niemców. *(K. II. 11).*

SIŁA IDEI NARODOWEJ.

Niemała to rzecz wcielenie się idei w cały naród — niekiedy potrzeba na to wieków. Wiadomo jak długą i bolesną kolej przechodził naród rosyjski, nim przyjęła się w nim idea cezaryzmu. Była ona wszczepiana nie za pomocą teorji i książek, ale ramieniem zdobywców nor-

mandzkich, żelazem wodzów tatarskich i w ostatku ręką kierowaną przez Wielkich książąt Moskwy. Nic też tej idei cezaryzmu, wcielonej w naród i władzę nie przeważy, jak tylko idea przeciwna, ucieleśniona i obdarzona władzą.

Weźmy przed się historję religji najlepiej znanych, chrześćjaństwa i islamizmu. Tajemnicza podróż na puszczy, niesłychane cierpienia, niezliczone proroctwa, usposabiały lud izraelski do przyjęcia Objawiciela. Zapewne, nie pośród Ateńczyków, których Paweł św. zastał jeszcze zaprzątnionych dziecińtwami retoryki, albo pośród Rzymian, Chrystus Pan mógł stanąć. Prorok arabski także znalazł lud przez sposób jego życia, przez gienjusz wieszczy przygotowany do przyjęcia objawień fantastycznych. Gdzież jest dzisiaj społeczność, naród, którvby był gotów przyjąć ideę? Każdy ma już swoją własną.

Polska była uosobieniem idei wręcz przeciwnej Rosji. Walka tych dwu potęg, była walką socjalną, i bez wątpienia, miała więcej wagi, niżeli spór między systemem Szlegla, a systemem Szellinga, albo między systemami wszystkich innych filozofów niemieckich, które zbijają się nawzajem i częstokroć nie trwają dłużej, nad życie ich autorów. Ale Rosja zgniotła Polskę. Teraz trzeba śledzić przeobrażenia idei, przez nią reprezentowanej, i patrzyć, czy ta idea może wcielić się nanowo; bo oprócz niej, niemasz siły

dostatecznej, którąby zdołała zrównoważyć Rosji wpływ, albo zwrócić ją na drogę lepszą.

Przed puszczeniem się w ten zawód, do którego przystąpimy ze strony literackiej, rzućmy ostatni raz okiem na posadę Słowian.

Widzieliśmy już obraz tej rozległej ziemi, objętej spojrzeniem z góry. Żyzne niwy po obu bokach Karpat, potem w jednej stronie step nieskończony, morze zieleni, ciągnące się ponad morzem Czarnem, w środku lasy nieprzebyte, w drugiej stronie, przed Bałtykiem, pasmo gęsto rozsypanych jezior rybnych. Cały ten obszar, był pokryty mnóstwem wsi, podobnych sobie, budowanych jednako i niemal w równej odległości odsadzonych.

W czemże się teraz odmieniła powierzchowność tych krain? Po tylu wiekach cóż tu jest inaczej? Lasy tylko, wyniszczone na biedę mieszkańcom, w wielu miejscach znikły zupełnie, zresztą mała odmiana. Te same rodzaje zboża i tak samo są uprawiane, jak były za Herodota; wioski, budowane swoim odwiecznym trybem, wyglądają jednako: we wszystkiem człowiek tu mało ujął i dodał. Gdzieniegdzie pośród wsi wzniósł się pałac murowany, ale wiele ich jest, połączone razem, nie złożyłyby jednej Genui lub Wenecji. Cztery, albo pięć miast wzrosło znaczniej i napełniło się, po większej części, ludnością cudzoziemską. Kilka dróg okazałych służy do sprowadzenia przedmiotów zbytku, które, by-

najmniej, nie wpływają na byt gminu. Oto wszystko, co tak zwana cywilizacja, przyniosła krajom słowiańskim. Z tysiąca lat bojów, któreśmy rozważali, masa ludu nic nie zyskała; stan jej owszem gorszy dzisiaj, niżeli był w wieku szóstym, w wiekach średnich, jeżeli mamy wierzyć opisom, które nam Jornandes, Prokop i Saxo-Gramatyk zostawili. Lud prosty jest teraz nieszczęśliwy, bo nie ma tych lasów, gdzie znajdował znaczną część swego pożywienia, skąd brał dowoli drzewo na chałupy, opał i swój sprzęt ubogi; bo, zresztą, srożej jest uciśniony przez teraźniejszych panów. On to pobudował te miasta, pałace i bite gościńce, a sam żyje w nędzy, i co większa, w głębszej goryczy wewnętrznej.

Opatrzność zachowała dla ludu słowiańskiego na dni nasze ostatni, ale najstraszniejszy, najdotkliwszy z ucisków, ucisk uczuć moralnych, religijnych.

Mongoły bezżenni przebiegali tylko, heretycy normandzcy, Szwedzi nie zatrzymywali się w kraju; ale pan, który natrząsa się z religji chłopa, codzień jest przed nim, codzień chłop widzi go, przechodzącego z głową, podniesioną dumnie mimo krzyża, w którym on pokłada jedyną nadzieję. Wydarłszy swoim poddanym dobro ziemskie, taki dziedzic chce jeszcze zachwiać w nich wiarę, co im przynajmniej obiecywała lepszą dolę w ży-

ciu przyszłem. To już jest ostatni ucisk, ucisk moralny.

Na tych ulepszeniach, jakie tu i ówdzie zaprowadzono w produkcji przedmiotów zbytkowych, lud słowiański nic nie zyskał; ale zyskał ogromnie z innej strony, zyskał w swoim duchu. Współczucia jego rozciągnęły się na większy zakres, wiara umocowała się potężniej. Życie towarzyskie w drobnych osadach, w siołach, których szczęśliwość opisali historycy, opiewają tak powabnie poeci nasi, Zaleski naprzykład, to życie błogie zamykało się całkiem w ciasnych granicach z a g o n u. Można było spalić sto wiosek, a sąsiednie patrzyłyby na to obojętnie: co też tłumaczy, dlaczego tak łatwo najezdnicy podbijali Słowiańszczyznę. Później chłopi rosyjscy i polscy, przywiedzeni do nędzy, podnieśli się jednak w hierarchji społeczeństwa, nabyli godności poddanych państwa, poznali, że należą do ogółu narodowego, sprawy krajowe poczęły ich obchodzić, uczuli się być Polakami i Rosjanami, członkami wielkich całości. Ale, gdy nie znaleźli szczęścia w obywatelstwie tych krajów, gdy ani Polska, ani Rosja, nie odpowiedziała moralnym ich potrzebom, obudziło się w nich pragnienie, przeczucie społeczności jeszcze rozleglejszej, prawdziwie chrześćjańskiej, a nie mogąc już niczego spodziewać się od ziemi, zwrócili oczy do nieba. Nigdzie miłość Boga nie płonie tak żywo, nigdzie nadzieja przyszłości nie

jest mocniejsza i żarliwsza. Można więc powiedzieć, że ta ludność, pogrążona w ubóstwie i nędzy, jest najpotężniejszem narzędziem, jakie Bóg zachował do swoich dobrotliwych celów dla świata. *(K. II. 18).*

ZNACZENIE LEGJONÓW.

Legjony przedłużają dalej, zachowują Polskę starodawną, a razem mają w sobie zaród jej przyszłości. One dopiero poczęły rozwiązywać zadania, obracane przez sejm czteroletni; ich historja wyjaśnia, co ma znaczyć: patrjotyzm, obywatelstwo i równość.

Za czasów sejmu czteroletniego w Polsce, jak i wszędzie, rozumiano, że, aby pozyskać tytuł patrjoty, dosyć było stanąć pod jakąkolwiek chorągwią narodową. Wszystkie stronnictwa równie miały się za patrjotyczne: walcząc za tę lub ową opinję, mniemano walczyć za ojczyznę; a gdy częstokroć opinje reprezentowały interesy osobiste, tym sposobem poświęcając się niby dla ojczyzny, każdy pracował dla siebie. Niezmiernie trudno oddzielić w podobnych razach rzecz powszechną, narodową, od rzeczy prywatnej, osobistej; żadna usilność ludzka nie zdoła tego dokazać, sama tylko historja, sam ogólny pochód narodu, żywy przykład, może rozstrzygnąć tę ciężką zagadkę. Owóż, kiedy Polacy biegli do Legjonów, cóż mogło nimi powodować? Kto zą-

ciągał się w te szeregi, rzucał wszystko, co go przywiązywało do ziemi rodzinnej, do zwyczajów narodowych; nie szedł bić się ani za żadną opinję, ani bronić swoich granic, własnej siedziby; puszczał się daleko na Zachód, do Włoch, do Francji, szukać ojczyzny, nie wiedząc nawet, gdzie i w czem ją znajdzie, nie wiedząc, która opinja weźmie górę, jaki rząd: republikański, królewski, albo cesarski w tych krajach zastanie, bo tam natenczas kształty władzy zmieniały się co moment. Trzeba więc było porzucić wszelkie formy, dać pokój wszelkim opinjom, a szukając siły, coby kiedyś stała się pomocą dla kraju, przedzierać się przez tysiąc niebezpieczeństw, przebywać państwa nieprzyjacielskie z narażeniem się na więzienie, męczarnie i nawet karę śmierci. Człowiek tedy, zdolny tyle się poświęcić, słuchać jedynie głosu wewnętrznego uczucia, dawał dowód, że miał w duszy to, co jest najistotniejszego w patrjotyzmie, w pojęciach polskich. Jakżeby bowiem inaczej wytłumaczyć sobie tę moc, która wyrywała go z ziemi własnej i rzucała tak daleko, walczyć za sprawę, niemającą ani formuły, ani chorągwi wyraźnej. Tą mocą tajemną, tą potęgą cudowną, był ów Bóg nieznany, którego nazywają patrjotyzmem Polaków. Dlatego też, kiedy stronnictwa sejmu czteroletniego ciskały jedne drugim w oczy zarzut zdrady, kiedy nawet część emigracji, osiadła w Paryżu, trawiła czas na próżnych dyskusjach

teoretycznych i wzajemnych oskarżaniach się, wszyscy Legjoniści byli uważani w Polsce za dobrych patrjotów; żadnemu z nich nie przeczono patrjotyzmu; bo to już było pewne, że się oni za nic innego nie bili, tylko za Polskę.

Sejm czteroletni chciał także ustanowić równość w obliczu prawa: rozprawiano czy podnieść klasy niższe, czy zniżyć wyższe, znosząc przywileje; ale same Legjony tylko potrafiły rozwiązać to zadanie, i w tem wielkiem przeobrażeniu Polski niepodobna było nawet przyjść inaczej do pożądanego rezultatu. Na ziemi ojczystej ludzie najzasłużeńsi, wydobyci z gminu, nie mogliby od razu zapomnieć swego pierwotnego stanu; jak znowu magnatom same nazwiska ich dóbr, nałogowa ludu czołobitność dla imion świetnych, przypominały zawsze rodowitą ich dumę. Kiedy tymczasem ci i tamci, rzuceni nagle wśród obcych, złożywszy jednakie dowody patrjotyzmu, wszyscy natychmiast i rzeczywiście uczuli się być równymi w duszy, bo wszyscy równą uczynili z siebie ofiarę, wszyscy przeszli równe niebezpieczeństwa. Nie było w Legjonach różnicy między chłopem, mieszczaninem, hrabią i księciem polskim; nigdy tam nie słyszano sporów o prawa urodzenia i przywileje.

Poprzestaniemy tutaj na wytknięciu tych dwu faktów. W wieku, tak pochopnym do ustawodawstwa, powinnyby one ściągnąć na się uwagę. Okazuje się z nich naprzód, że, aby nabyć i u-

żywać wielkiego prawa, potrzeba pierwej spełnić wielką powinność; że niedość jest urodzić się na ziemi jakiego kraju, należeć do jakiego narodu, żeby już być jego obywatelem, a co większa, przerabiać jego ustawy, przedsiębrać dzieło jego odbudowania; bo to wielkie dzieło wymaga wielkiej rękojmi, a tę złożyć tylko można w poświęceniu się obywatelskiem. Powtóre, mamy stąd naukę, że równość znaleść się tylko może między ludźmi, którzy pracują w jednymże przedmiocie, przejęci są tem samem uczuciem: że równości tej nie zdołają zaprowadzić żadne ustawy, ale wypływa ona tylko z wielkich faktów historycznych. Legjony polskie rozpoczęły przyszłe prawodawstwo swego kraju. Nie zostawiły one żadnego artykułu, żadnej ustawy, żadnej konstytucji, ale zdobyły dla przyszłych pokoleń prawo niepodległego bytu i urządzenia się samodzielnie. Kiedy politycy dowodzili nieprzedawnionych praw Polski w notach, podawanych rządom europejskim, jenerałowie Legjonów okazywali żywy dowód jej bytu, napełniając zawsze kadry swoich hufców, nie wiedzieć jak i skąd, znajdując zawsze nowych żołnierzy i oficerów polskich. *(K. II. 21).*

INSTYTUCJE PAŃSTWOWE POLSKIE i ROSYJSKIE.

Instytucje polityczne państwa, jako wyrób ducha narodowego, dają nam miarę jego siły. Mówiliśmy także, że instytucje te uważać należy za zbiór środków i pomocy, które duch narodowy przyrządza sobie, aby mógł szczeblować do celu, naznaczonego mu przez Opatrzność. Pod tymi względami przypatrując się instytucjom ludów słowiańskich, widzimy w dziejach ich rozwijania się nieustanną walkę między duchem, usiłującym wyzwolić się, wznieść się wyżej, a materją, która ciągnie go ku ziemi, albo stara się uwięzić w tych lub owych formach.

Przypomnijmy tutaj, cośmy powiedzieli w ogólności o rozległym rodzie Słowian. W końcu wieku VI ukazuje się on na widok, już prawie mając zrealizowany ideał pożycia domowego i gminnego. Żyzność ziemi, łagodność obyczajów, przywiązanie do podań odwiecznych, urządzających własność, zbieg nareszcie wielu okoliczności, których tu na nowo wyliczać nie będziemy, dozwoliły mu osiągnąć stan prawdziwie błogi. Używając tego szczęścia, weselił się i skakał, tak, że poszło w przysłowie u współczesnych Slavus saltans, a nie myślił rozwijać się dalej, kiedy wszakże człowiek nie jest stworzony tylko do życia, ograniczonego domem i gminą. Dla wyruszenia go z niedostępnych

ustroni, z cichych zakątów, trzeba było najścia cudzoziemców. Synowie Odina i konni Kaukazjanie przyszli zmusić Słowian do wzniesienia się na godność obywateli krajów. Powstało natenczas w Słowiańszczyźnie wiele księstw i królestw.

Ale wkrótce ociężałość bierze górę: duch słowiański chce już nazawsze pozostać uwięziony w formach tych państw drobnych. Rusini trzymają się uporczywie przy swoich księstwach; Serbowie zapominają pobratymstwa ze szczepami północnemi; mieszkańcy odłamów Królestwa Polskiego, dumni ze swojej swobody i ukształcenia pod wpływem Kościoła katolickiego, poglądają z pogardą na resztę plemienników. Wszystko jest w rozdrobnieniu, w zatargach, wszędzie nieład i zamęt. Opatrzność wtedy znowu zadaje plagę rodowi słowiańskiemu, popędza go naprzód. Z wyżyn Azji spadają na Słowiańszczyznę Mongoły, podkładają ogień pod te księstwa i królestweczka, palą miasta i wsie, dymem wykurzają z nor mieszkańców, gonią przed sobą do kupy, gwałtem każą im, żeby zajrzeli sobie w oczy i szukali wspólnego sposobu oparcia się takiemu uciskowi. Tymczasem z drugiej strony wypada z lasów nieznany lud litewski, rzuca się razem na państwa ruskie i polskie i wszędzie osadza dynastje. Po uciszeniu się tej strasznej burzy widzimy podnoszące się jednocześnie trzy ogromy polityczne: Czechy, Polskę i Ruś.

Powiedzieliśmy dawniej przyczynę dlaczego zostawialiśmy na stronie Słowian Dunajskich, Serbów i Czarnogórców, równie, jak Słowian południowych od wielu wieków zeszłych z pola politycznego; i teraz więc będziemy mieli na uwadze dwie tylko narodowości: polską i ruską.

W głębi północy, pośród tych księstw ruskich, zgniecionych przez Mongołów, powstaje nowa potęga: wielkie księstwo Moskiewskie. Środki, cel, plany, siła tej potęgi, wszystko to leży zebrane w duchu wielkich ludzi, następujących po sobie na tron tego państwa, które nazwaliśmy fińsko-ruskiem. Zdaje się, jak gdyby duch Atylli, Dżengis-Chana, Tamerlana wcielał się kolejno w tych władców straszliwych, duch wyniosły, srogi, dumny, ufny zawsze w siebie, zaradzający sobie w każdym przypadku. Występuje on jako wróg i Finnów i Słowian, pożera wszystko, co go otacza: rodziny, księstwa, narody. Tym postrachem, jakim był pierwej głos rogowej trąbki Litwinów i tatarski okrzyk hałła, staje się teraz w Słowiańszczyźnie północnej jeden wyraz — ukaz. Wyraz ten przeraża mieszkańców stron tamecznych, wprawia ich w stan czujności, napędza do ruchu, po zagarnięciu w jedną całość księstw Rusi, nie daje Rusinom usiedzieć w granicach kraju, rzuca ich na Tatarów, pchnie nad Dunaj, wypiera iść przeciw Polsce. Duch panującego włada wszystkiem, w duchu jego sprężyna i cel wszelkich

działań. Wszyscy mu służą. Służba, to hasło Rosji. Kto nie w służbie carskiej, ten uchodzi za niewolnika, nie liczy się za nic w państwie. Panujący zaś ze swojej strony niema żadnej powinności dla państwa, nie jest związany żadnem przymierzem konstytucyjnem, może tronem swoim rozporządzać dowolnie, oddać go komu obcemu, może zmienić kształt rządu. Widzieliśmy tego przykład, mówiąc o Iwanie Groźnym, któremu przyszło do głowy zrobić wielkim księciem moskiewskim jednego Tatara i osiąść spokojnie na ustroniu, jak człowiek prywatny, skąd jednak duchem swoim trzymał cały kraj, aż póki nie podobało mu się znowu strącić z tronu ową biedną igraszkę swego kaprysu. Możemy przypomnieć, że Piotr W. także mianował był księcia Romodanowskiego imperatorem, cesarzem. Rzeczywiście, nic nie przeszkadzało wtedy samodzierżcy Rosji ogłosić swoje państwo rzecząpospolitą, pozostać bez straży przybocznej, bez wojska, mimo to, być zawsze samowładnym panem, mającym moc w każdej chwili przerobić, co zrobił, bo nie było jeszcze wówczas na ziemi słowiańskiej siły, zdolnej przeciwić się jego woli. Cesarz rosyjski niema żadnego obowiązku dla poddanych, a ma prawo wymagać od nich wszystkich usług publicznych. Nie nagradza nawet tego, uważa to za powinność. Musimy tu wytknąć grubą nieznajomość rzeczy pisarzom zachodnim, którzy wiecznie zapatrując się na Rosję podług

swoich wyobrażeń, wątpią o jej potędze, bo już to mniemają, że jest bardzo uboga, już że nie wiedzieć jakaś kasta Bojarów, której zgoła nie masz, może jej pomieszać szyki. Trzeba pamiętać na to, że w Rosji, obyczajem mongolskim, nie car płaci żołd wojsku, ale wojsko carowi. Jakoż i zapłata, dawana służącym albo żołnierzom, nazywa się po rosyjsku żałowanje, to jest niby podarunek, datek z łaski, ściśle mówiąc, jałmużna. Car Wszech Rosji poddanym swoim daje jałmużnę. Niemasz przeto tam żadnych instytucji; jest to kraj, rządzony duchownie. Niektórzy znamienici publicyści już to postrzegali. Jeden pisarz francuski w dziele swojem o Rosji powiada wyraźnie: „Jest tam coś takiego, co niezupełnie ludzkie, jest jakiś wpływ moralny, mający źródło gdzieśindziej, nie w ciasnych kombinacjach polityki“ [1]).

Straszliwego ducha tego użyła Opatrzność za narzędzie kary i udoskonalenie poddanej mu ludności; zmusiła ją tym sposobem czuwać ciągle, być ciągle w pracy wewnętrznej, zgadywać myśli swego monarchy i stosować się do nich. Przeto też, z pomiędzy wszystkich Słowian północnych, żołnierz rosyjski jest najbardziej dociągnięty, najlepiej wyrobiony, najwięcej zdolny pojmować i wykonywać wielkie rzeczy. Bierze on od swego monarchy potęgę moralną.

---

[1]) Patrz Dziennik *La Gazette de France* z roku 1885.

Polska, ze swemi instytucjami tak rozmaitemi, i na pozór dziwnemi może, stanowi mocarstwo wbrew przeciwne Rosji. Od czasów bajecznych, od czasów tego króla-kmiecia, wybranego wśród uroczystości jednomyślnym okrzykiem współobywateli wolnych i radosnych, nie widać w tym kraju żadnego człowieka, któryby rozstrzygał los państwa, nie widać dynastji, od którejby zależały koleje narodu. Niepodobna nawet oznaczyć, gdzie w tem państwie leży środek działalności. Nic tu nie dzieje się przez pojedyńczych ludzi, wszystko gromadnie. Jądrem Państwa Polskiego jest zjazd, zgromadzenie obradowe, s e j m i k. Cała historja polska składa się z uchwał rozmaitych zjazdów, zbierających się już powszechnie, już osobno, czasem niezgodnych z sobą, rzadko kiedy po nieprzyjacielsku spornych, a zawsze działających jakby bez pewnego celu. Cała rzeczpospolita ma wszakże moralne ognisko swoje w zjeździe wielkim, walnym, czyli w s e j m i e.

Zobaczymy, jakie są atrybucje i jaki jest tryb postępowania tych wspaniałych obrad.

Sejm polski różni się od wszelkich zgromadzeń politycznych, ma tę naturę, co sobory Kościoła; nie stanowi nawet praw, nie wydaje przepisów, nie posiada żadnej mocy wykonawczej: zgromadza się tylko dla rozstrzygnięcia jakiejkolwiek kwestji i zawyrokowania o jej słuszności. Za dawnych czasów zwykle w uchwa-

łach swoich kładł słowa: ktokolwiek przeciw temu uczyni, niech będzie przeklęty. Jeżeli rzecz idzie o wypowiedzenie wojny, rozbiera, czy sprawiedliwe są dla niej przyczyny, nakazuje posłom swoim zasięgać w tej mierze jaknajdokładniejszych wiadomości, i nieraz zdarzało się, że nie przyjęto dobrowolnego oddawania się Polsce miast i prowincji, gdy nie znaleziono prawowitych powodów odjęcia ich temu, do kogo należały. Po rozwiązaniu kwestji ze strony moralnej czynność sejmu ustawała, a wtedy wszyscy, wedle sił i możności, brali się do wykonania wyroku. Każdy szlachcic polski miał prawo, kiedy chcąc, prowadzić wojnę za granicą, i tylko na sumieniu jego ciężyła odpowiedzialność. Rzeczpospolita nie miała sposobu wzbronić jemu tego. Jeśli państwo obce żaliło się o to, rzeczpospolita pozwalała czasem ścigać wojujących, aż na swojej ziemi, ale nie wydawała nikogo. W razie wypowiedzenia wojny wskutek postanowienia sejmu wszyscy mieli obowiązek sumienny stawać pod bronią. Sejm walny, zgromadzony prawnie, uważany był za opatrzony Duchem Świętym. Jestto dogmat zasadniczy konstytucji polskiej. Każdy z sejmujących miał prawo położyć swoje v e t o, zatrzymać czynność sejmu, a jednak, rzecz dziwna, przez wiele wieków nikt nie śmiał użyć tego prawa. Wybór króla odbywał się na sejmie przez natchnienie Ducha Świętego. Każdy szlachcic, to jest każdy czło-

wiek wolny, — bo ten wyraz szlachcic wprowadza w błąd cudzoziemców, którym przychodzi zaraz na myśl szlachta taka, jak francuska, albo angielska, kiedy należałoby raczej wyobrazić sobie coś podobnego, jak spahi turecki, albo homme franc za Merowingów; — każdy tedy człowiek wolny mógł być obrany królem, ale niewolno było nastręczać się samemu, zbierać sobie stronników, czynić zabiegi, udawać się do jakichkolwiek tak zwanych praktyk, machinacji, intryg. Wszystko to uważało się za grzech. Król, obwołany na sejmie, stawał jako ogniwo między religją, a polityką, miał charakter święty i nawet niektóre atrybucje kapłaństwa. Wierzono, że przez niego spływało błogosławieństwo na naród, wymagano nadewszystko, żeby był świątobliwym i dobrym. Świątobliwość była warunkiem głównym; czynność, tęgość, zręczność liczono do przymiotów podrzędnych. Król nie mógł uczynić nic złego, nie mógł nikomu wyrządzić krzywdy: w wojnach, nawet domowych, sami polityczni przeciwnicy jego wspominali o nim z uszanowaniem, przyklękając na kolano, albo przynajmniej zdejmując czapkę. Istotnie, historja polska niema do wyliczania zbrodni królewskich, a cześć i miłość ku panującym, którzy szafowali wszelkiemi łaskami, i nie mieli nawet potrzeby karać kogokolwiek, tkwiła głęboko w uczuciach ludu. Zygmunt Stary, kiedy posłowie zagraniczni dziwili się, widząc go cho-

dzącego bez straży wśród tłumów pospólstwa, mawiał, że nie masz w rzeczypospolitej ani jednego człowieka, na któregoby piersiach nie zasnął spokojnie.

Wróćmy do praw politycznych. Skoro słuszność wojny została przez sejm uznana, król, jeśli chciał sam dowodzić wyprawą, wyruszał naprzód ze swoim pocztem przydwornym, i objeżdżając panów, bogatą szlachtę, oznajmiał im o postanowieniu sejmu. Wszyscy ludzie dobrej woli ściągali się wtenczas pod chorągiew. Mamy, naprzykład, opisanie, jak król Stefan zbierał wojsko przeciw Moskwie. Wstąpił on po drodze do jednego z panów, gdzie spodziewał się otrzymać znaczny zasiłek. Pan ów przyjął go wystawnie, ale nie widać było nic takiego, coby obiecywało królowi dobry skutek nadziei. Nazajutrz król już odjeżdżał w złym humorze, kiedy nagle postrzega na dziedzińcu pułk husarzy, gotowy mu towarzyszyć, i przy pułku furgon ładowny pieniędzmi na opłatę żołdu żołnierzom; ledwo ujechał kilkanaście stai, spotyka drugi pułk jazdy lekkiej, uzbrojony najpiękniej, i przy nim także furgon srebra; dalej nieco, znajduje czekający na siebie porządny pułk piechoty, znowuż z kasą, opatrzoną na ciąg całej wojny. Wszystko to było kosztem właściciela dóbr tamecznych. Tym sposobem Batory zgromadził przeszło 100.000 wojska.

Jeżeli król nie wyruszył osobiście, hetmani

skupiali hufce podobnąż koleją. Zawsze cała rzecz poległa na dobrej woli.

Nie inaczej działo się i w przedmiocie skarbu. Tego wyobrażenia, że wszystek pieniądz powinien przez skarb przechodzić, że w stanie normalnym społeczeństwa koniecznie tak być musi, aby każdy i na codzień był obłożony podatkiem, w Polsce nie znano. Sejm uchwalał tylko pewne opłaty dobrowolne i na czas określony, a częstokroć po zapadnięciu takiej uchwały, ludzie bogatsi opłacali z góry za całe ziemie lub powiaty, i wziąwszy kwit ogólny, jechali upominać się u swoich spółziemian o zwrot ilości, na każdego przypadającej. Urzędów, dostojeństw, obowiązków publicznych płatnych od skarbu nie było. Jeżeli, naprzykład, wypadła potrzeba wyprawić poselstwo gdzie za granicę, rzeczpospolita odzywała się w tej mierze do swoich bogatych i możnych obywateli, a ci, podejmując się tego obowiązku, nietylko że musieli sprawować go o własnym koszcie, ale nadto do nich należało przygotować podarunki dla obcych dworów, kiedy nawet wziętych nawzajem, nie mogli zatrzymać sobie, lecz powinni byli oddać rzeczypospolitej. Tym sposobem niektóre domy, między innemi dom książąt Zbaraskich, jedynie z powodu poselstw przychodziły do ubóstwa. Ale to poświęcenie majątku uważano za zasługę przed ojczyzną i nawet przed Bogiem, za środek zbawienia swojej duszy. Z myśli tej wynikał

także zwyczaj, że wielu, umierając, zapisywało sumy pieniężne i ziemie dla rzeczypospolitej i królów swoich.

Sądownictwo odbywało się również na tej samej zasadzie. Po rozstrzygnięciu sprawy, czy to przez sejmik, czy przez trybunał, woźny, który miał charakter herolda, czynił wiadomo wszem wobec i każdemu zosobna, komu o tem wiedzieć należało, aby wszyscy, wedle dobrej swojej woli, przyłożyli się do wykonania wyroku sądowego. Wzywał przytem stronę obżałowaną do posłuszeństwa wyrokowi, i mamy w dziejach polskich pełno przykładów, że ludzie bardzo możni oddawali się sami w ręce sprawiedliwości. Zdarzało się nawet, że skazani na gardło, chociaż byli za granicami kraju, wracali dobrowolnie i przynosili głowy pod miecz katowski. Nie zamykano ich do więzień, nie przydawano im straży, używali najswobodniej czasu, zostawionego do przygotowania na śmierć. Szlachcic polski bowiem, któryby uciekł przed karą sądową, uważany był za infamisa, za człowieka bez czci i odwagi. Opinia publiczna ścigała takiego, jak teraz ściga tchórzów, uciekających od pojedynku. Nie pojmując sankcji religijnej we wszystkiem, nie można zrozumieć historji polskiej; cały jej ciąg wtedy, zdaje się być plątaniną, niepodobną do rozwikłania. Szlachcic bogaty i możny, który trzymał dziesiątek tysięcy nadwornego żołnierza, osądzony na grzywny albo wieżę, bez

oporu składał opłatę, dawał się woźnemu wziąć i zamknąć. Cóżby mu było łatwiejszego, jak sprzeciwić się wyrokowi, ale oburzyłby na się opinię publiczną, i poszedłszy do spowiedzi, nie dostałby rozgrzeszenia. Duchowieństwo sanktifikowało moc praw narodowych. W razie, kiedy ucisk strony żałującej był widoczny, kiedy krzywda wołała o pomstę, wszyscy siadali na koń, i sprawiedliwość wymierzała się prędko. W sprawach wątpliwych, gdzie zdanie powszechne nie mogło przechylić się na jedną lub drugą stronę puszczano rzecz w przewłokę, dozwolono rozpocząć proces nanowo, szukać lepiej wyjaśniających dowodów.

Do czegóż przeto zmierzały te wszystkie instytucje, jaka tkwiła w nich myśl ukryta? Oto celem ich było rozwijać ducha ludzkiego, trzymać go ciągle w podniesieniu, zmuszać, żeby coraz bardziej czuł własną godność, coraz lepiej rozumiał swoje obowiązki.

Człowiek wolny w Polsce nie mógł zdać wszystkiego na sejm lub sejmiki; skoro tylko zapadła uchwała powszechna, musiał ją brać sam na uwagę, oceniać jej słuszność, żeby stosownie do własnego przeświadczenia, tak, lub owak postąpił. Z dobrej woli zostawał on sędzią, żołnierzem, wykonawcą prawa, i obowiązki te trwały póty, póki miał dobrą wolę czynić im zadość. Nigdzie w świecie nie było przykładu podobnie zapewnionej wolności osobistej. Nie znamy też insty-

tucji, skierowanych lepiej do uczynienia człowieka wolnym, wznoszenia go bezustanku nad interesy materjalne. Za każdym razem, kiedy dawał grosz na potrzeby kraju, składał ofiarę, i dawszy, czuł rozkosz, że wspomógł rzeczpospolitą. Wielekroć odbywał wojnę przeciw nieprzyjacielowi, miał to i za usługę ojczyźnie i za dzieło pobożne, za dzieło takie, jak wyprawy krzyżowe. W samym nawet kształcie rządu okazywała się wielka i piękna rozmaitość. Sejm walny przypuszczał veto, ale w niektórych okolicznościach zawiązywano sejmy konfederacyjne, i wtedy obrady odbywały się jak w parlamencie angielskim i w izbach francuskich, wotowano tajemnie i rozstrzygano kwestje większością głosów. Izby sejmowe już zbierały się osobno, jak teraz we Francji i Anglji, już niekiedy łączyły się razem i składały jedną izbę. Tym sposobem rząd ten mógł przybierać, wedle potrzeby, formę, to parlamentu angielskiego, to izb francuskich, to niejako soboru Kościoła, to znowu zgromadzenia czysto-politycznego, a czasem dyktatury. W bezkrólewiach Polska zaprowadzała u siebie rząd dyktatorski. Ponieważ wedle wyobrażenia narodowego król był rękojmią wolności, Polska, pozbawiona króla, przywdziewała żałobę, kaptur. Stanowiono natenczas tymczasowe trybunały, zwane kapturowemi, opatrzone władzą wyłączną, które mogły wszelkie sprawy sądzić na gorącym razie i bez apelacji,

a miały prawo zupełne nad majątkiem i życiem każdego. Podobnaż władza dyktatorska bywała dawana hetmanom. Hetman koronny albo litewski, dowodzący wojskiem, reprezentował niejako w osobie swojej całą rzeczpospolitą, miał prawo miecza, mógł obdarzać szlachectwem, mógł niekiedy sądzić sprawy cywilne i kryminalne.

Skreśliliśmy tutaj ideał stanu Polski, ale daleko jeszcze było do tego, żeby Polska go zrealizowała. Doświadczała ona ciężkich przeszkód w tej mierze; wszystkie państwa europejskie szły w kierunku wbrew jej przeciwnym. Europa cała, brnąc w materjalizm, scholastycyzm, metafizyczność, nie mogła pojąć tego życia, tak rozsianego wszędzie, tak igrającego rozmaicie, okrzyczała je za bezład: Europa obróciła się przeciw Polsce!

Żeby uzupełnić ten ideał, dodamy czem powinien był być król, podług wyobrażeń polskich. W Rosji, jak cesarz Paweł powiadał, niemasz nikogo, ktoby cokolwiek znaczył; ten tylko jest potężnym, z kim cesarz gada, i jest nim póty, dopóki słyszy jego słowa. Skoro jego cesarska mość obróci się w inną stronę, wielkość ta znika, człowiek wielki znowu staje się niczem. Otóż, w Polsce podobnie rzecz miała się co do króla. Królem był ten, z kim Duch Święty rozmawiał, i królowanie jego trwało dopóty, dopóki doznawał tej łaski. Polska nie urzeczywistniła cał-

kiem tego ideału... Konstytucja jej miała sama w sobie niezmierną trudność: wymagała po obywatelach nieustannych i niesłychanych wysileń moralnych, zdawała się nie przypuszczać ludzi innych, jak zawsze wspaniałomyślnych, albo chcących być takiemi, zawsze mądrych, albo starających się o mądrość, zawsze poświęcających się, albo gotowych do poświęceń. Te wymagania były za ciężkie na Polaków, i konstytucja ta nie mogła wytrwać.

Nic w tem dziwnego. Wszystko im prostsze i mniej rozwinięte, tem jest trwalsze. Budowy Cyklopów i Egipcjan przetrwały rewolucje państw i nawet żywiołów. Są to grube i surowe głazy; nie widać jeszcze przebijającego się w nich ducha. Pomniki budownictwa greckiego, bardziej już oderwane od ziemi, wysmuklejszych kształtów, mają jednak większą trwałość od tych delikatnych dzieł architektury średniowiecznej, które zdają się rozlatywać w powietrze, i wiadomo, że duch, utworzywszy je, musi ciągle, bez odpoczynku, czuwać nad ich zachowaniem. Podobnie dzieje się i z ciałami organicznemi. Zwierzę, im podlejsze, tem szerszą podstawą dotyka ziemi. Człowiekowi, nic więcej, tylko żeby stał na nogach, trzeba już i materjalnego i moralnego wysilenia, bo skoro traci uczucie samego siebie, zaraz obala się, upada, staje się stworzeniem niższego rzędu.

Jak tedy okazują dzieje Polski, naród ten

dążył do zaprowadzenia rządu, do utworzenia społeczeństwa, polegającego na wewnętrznym popędzie i dobrowolności. Niemożna powziąć prawdziwego wyobrażenia o tym kraju z pism historyków, zapatrujących się na wszystko przez cudzoziemskie przesądy; mało nawet w tej mierze oświecić może własne jego prawodawstwo pisane, bo napchano weń pełno formuł obcych: wyobrażenie to całe i najszczersze daje się wyciągnąć z powieści gminnych, z poezji ludu, z anegdot, z pamiętników niektórych i z żywotów mężów znakomitych.

Długi czas, pracując nad utworzeniem i utrzymaniem tak wielkiego i trudnego porządku rzeczy, szczep słowiański w Polsce uległ nareszcie znowu pokusie używania. Królowie chcieli używać sobie miłości poddanych i tego bezpieczeństwa, jakiego nie miał żaden monarcha europejski; panowie chcieli używać dostatków i znaczenia; szlachta cała, zrobiwszy z Polski za Sasów, jak jeden pisarz angielski powiedział, powszechny i nieustający jarmark, oddała się wesołości i nie wiedzieć na czem opartym, a zawsze najpomyślniejszym, nadziejom. Wszyscy paradowali, pili, szumieli, cieszyli się z dobrych czasów, obiecywali sobie błogą przyszłość, a wśród tych godów zapomnieli o losie biednej i pracowitej klasy. Szlachta, zamykając się sama w rzeczypospolitej, chciała wzbronić do niej wstępu wszystkim,

którzy nie mieli klejnotu szlacheckiego, zamierzyła sobie zostać kastą, i tem bytowi swemu położyła koniec. Jak niegdyś gminy, a później księstwa, tak teraz rzeczpospolita, musiała być starta, i należało spodziewać się nowego wyzywu od Opatrzności. *(K. III. 25).*

II.

POLSKA TEGOCZESNA.

DOGMAT MESJANIZMU.

...Różnica, jaka zachodzi między ludźmi, zależy od różnego stopnia rozwinięcia ich ducha. Duch więcej rozwinięty ma naturalnie posłannictwo prowadzić ludzi w tej mierze niższych. Jest to główny dogmat mesjanizmu. Opatrzność używa takiego ducha za swój organ; Bóg nie używa innego sposobu przemawiania do ludzi, obiera na to sobie człowieka. Nie wciela się on w szkoły, złożone z indywiduów różnego charakteru i różnej wartości moralnej, nie wyraża się przez książki, których autorowie mogą dogadzać egoizmowi albo chuciom ziemskim: przemawia przez ducha takiego, co pilnował się jego praw, udoskonalił siebie, jak należy, czyniąc zadość warunkom do tego potrzebnym, wytrzymał próby, osiągnął mądrość. Wiedziano o tem dawno, znali to mędrcy starożytni, których później zastąpili filozofowie. Nie jest to zdanie nowe, ale trzeba, żeby się stało dogmatem powszechnym, a stało się już nim dla filozofów i poetów wielkiego narodu europejskiego, co rzecz godna uwagi.

Owóż, duch, który pracuje, który się podnosi, który bezustanku szuka Boga, otrzymuje

przez to samo światło wyższe, zwane słowem i staje się objawicielem. Człowiekowi ukazuje się nagle przed oczyma nie system, ale, jakieśmy powiedzieli, słowo, i dla tegoż to największe ze wszystkich, objawienie chrześćjańskie, nazwano, słowem. To światło Boskie, któremu dość jednego człowieka, żeby się objawić, rozwija się później, bo jest słowem żyjącem; rozwija się w systemach, w szkołach, a nadewszystko w czynach; nie potrzeba mu dowodzeń, rozumowań, przeświadcza samo przez się; nie wykłada szeroce tych systemów, nie zapowiada nawet zgóry, co ma sprawić: przemawia i realizuje się razem. Widzimy teraz, dlaczego w ewangielji niemasz ani jednego przykładu dyskusji, ani jednego sylogizmu, ani jednej obietnicy pod względem ekonomicznym, politycznym, lub socjalnym, a jednak słowo to sprawiło zmiany niezmierne we wszystkich gałęziach wiadomości ludzkich.

Filozofja, czyli co nazywają filozofją, to jest, robota inteligiencji, która wyłamuje się z pod wszelkich prawideł moralnych, która nie chce poddać się żadnemu warunkowi, położonemu przez Opatrzność, która mniema, że dosyć jest rozumować i dyskutować, aby otrzymać prawdę; filozofja taka, wedle powyższego sposobu uważania rzeczy, jest tylko naśladowaniem, albo raczej fałszerstwem objawienia. Mędrcy objawiają wielkie prawdy, mędrcy, czyli cnotliwi (bo po grecku σοφός znaczy razem jedno i drugie),

ludzie święci, odkrywają wielkie rzeczy; filozofowie udają, że czynią toż samo. Mamy tutaj znaczenie bajki o Prometeuszu i Epimeteuszu. Prometeusz dostał ogień z nieba i ogniem tym ożywił człowieka, to jest, dał wiedzę, założył instytucję; Epimeteusz, chcąc naśladować brata, stworzył tylko małpę.

W rozwijaniu się tedy politycznem narodu dają się widzieć ludzie, przeniknieni tradycją narodową, i ci prowadzą naród ku jego przyszłości. Ukazuje się także szereg ludzi natchnionych, którzy od czasu do czasu zjawiają się w chwilach stanowczych. Natchnienie to, jak można wnosić z głębokiego zastanowienia się nad historją, będzie coraz mocniejsze. Pominąwszy bowiem rozbiór instytucji ludów starożytnych, rzućmy tylko okiem na samo chrześćjaństwo.

Narody chrześćjańskie, przyjąwszy nową wiarę, pozostały jednak pod prawodawstwem pogańskiem. System kast niema miejsca w ewangielji. Wyobrażenie dziedzictwa nie znajduje się także w księgach chrześćjańskiego zakonu. Wojny i traktaty bywają teraz bardziej barbarzyńskie, niżeli zabory i układy Rzymian: radzili się w tem oni przynajmniej swoich kapłanów, zwanych s a l i e n s e s. Ewangielja przeto, przyjęta przez ludzi, pojedyńczo uważanych, nie weszła w życie polityczne narodów. Kodeks rzymski po dawnemu służy za prawidło trybunałom: prawo

arystokratyczne plemienia germańskiego stało się wszędzie, przynajmniej w państwach zachodnich, prawem publicznem; a wszystkie te ustawy, wszystkie te zwyczaje wykluczają natchnienie, kiedy przecież przyszłość narodów założona jest na słowie natchnionem. Oto, bo potrzeba czasu, żeby nowy porządek rzeczy wszedł na miejsce starego. Widzimy wszakże, że po wprowadzeniu chrystjanizmu do Galji, płomień natchnienia zapala się w niej od czasu do czasu, i przedziera się wśród gęstwy przesądów, nawyknień powszednich. Widzimy nadewszystko w Dziewicy Orlańskiej przykład, wzór, typ nowego porządku rzeczy. Zjawisko to nie mogłoby być pojęte ani przez Greków, ani przez Rzymian. Osobę tę wydał już chrystjanizm.

Prosta wieśniaczka, która staje na czele wojska dlatego, że otrzymała wyraźny rozkaz od Boga, która zniewala władze urzędowe do posłuszeństwa natchnieniu, jest osobą ewangieliczną, jest zapowiedzią, jak na świecie ma dziać się kiedyś.

...Wierzymy więc i mamy powody wierzyć, że narody chrześćjańskie zbliżają się coraz bardziej do zrealizowania ewangielji, i że wtedy duchy te wyższe, zdolne otrzymywać natchnienie Boskie, będą powołane do odgrywania ról, jakie nie mogłyby zgadzać się z teraźniejszym stanem społeczeństw. *(K. III. 1).*

PRAWDA A DOKTRYNA.

Patrzmy, co znaczy szukać prawdy, a co doktrynować. Wszelka prawda nowa wymaga po człowieku nowego podniesienia się do niej, wszelka prawda nowa, to jest wszelka cząstka życia nowego, wzywa człowieka do ofiary z cząstki życia dawnego. Nie można podnieść się wyżej, nie opuściwszy szczebla niższego, albo, nie będąc gwałtem z niego wyrwanym. Wszystko, co zwiastuje przyszłość, odrywa nas od przeszłości; i dlategoż każda prawda nie żyje i nie utrzymuje się inaczej, jak tylko pracą, która także jest bolem, cierpieniem.

Ewangielja przyrównała prawdę do tych talentów, których nie możemy utrzymać, nie pracując na pomnożenie ich dorobkiem.

Jakże doktryna postępuje sobie, i co to jest doktryner? Doktryner, jest to człowiek, który chce skazać prawdę na bezpłodność, bo chce uwolnić nas od wszelkiej pracy. Skoro czujemy się szczęśliwi i dumni z osiągnięcia jakiej prawdy, doktryna zaraz przychodzi nam mówić: nie macie potrzeby pracować więcej, zdobyliście już wszystko, przy świetle tego jednego promyka możecie iść do końca świata: pozostaje wam tylko cieszyć się skarbem, utrzymać nabytek, i umieć go urządzić: cała rzecz jest już w ręku, chodzi tylko o wydoskonalenie szczegółów, specjalności. Doktryna podaje formuły.

Zwodnicza ta mowa ujmuje człowieka, i pomału wyciąga z niego całe życie. Tym to porządkiem, po apostołach i cudotwórcach, następują teologowie i kazuiści, a wtedy przychodzi nawet do utrzymywania, że cuda i dary Ducha, jedyny dowód jego bytu, są już niepotrzebne więcej dla ludzkości, że ludzkość ma w podręcznych zbiorach teologji wszystko, co tylko jej przeznaczono wiedzieć o ziemi i niebie, o teraźniejszym i przyszłym świecie.

Tym to porządkiem, po wielkich prawodawcach, następują prawnicy i adwokaci ze swojemi formułami i wyrażeniami, ukutemi raz na zawsze. Tym porządkiem, po wielkich wojownikach, po mężach natchnionych, zajmują miejsce ludzie nauczający, że pokój przedewszystkiem, że każdy u siebie i dla siebie. Przyjście tego rodzaju ludzi jest prawie zawsze znakiem upadku ducha ludzkiego. Tak kończył się świat grecki, i tak kończy się świat zachodni.

Doktryna łatwo się przyjmuje, bo nie naraża ducha na żaden koszt, nie wymaga po nim żadnej ofiary z miłości własnej. Doktryner powiada ci: Dowiesz się wielkich, pięknych rzeczy, staniesz się mądrym i potężnym, a nie będziesz obowiązany poświęcić, nawet w czemkolwiek zmienić twoich przekonań. Każdy tedy, trzymając na stronie swój egoizm obwarowany, rad udaje się po wiedzę, pewien, że ją otrzyma i otrzymawszy obróci ku dogodzeniu sobie.

Zachód dusi się w swoich doktrynach. Gdyby plemię, występujące teraz na scenę świata, nie miało nic więcej zrobić, tylko dorzucić nową książkę do nieprzebrnionych stosów książek, tylko dodać nowy system do niezliczonych systemów, które was obarczają, przybywałoby z niczem, poczynałoby od tego, na czem zwykle się kończy. *(K. IV. 2).*

PRAWDA U SŁOWIAN.

W naszych stronach rolniczych wiadomo to z doświadczenia, że gatunki zboża po pewnym przeciągu lat, zwodzą się i nędznieją, a wtedy, żeby je odnowić, trzeba sprowadzić nasienie z krainy, która ma to do siebie, że wydaje zawsze ziarno zdrowe i bujne.

Ziemia, tu często przez nas wspominana, ziemia, wedle słów poetów naszych, kopytami zryta, ciałami poległych utłuszczona, kośćmi ich zasiana, jest tą krainą męczeńską, mającą przywilej dostarczania zboża na usiew okolicom, najlepiej uprawnym.

W świecie duchów podobnież jest kraina tajemnicza, do której trzeba udawać się po to ziarno nasienne, z któregoby można rozplenić moc, życie i wiedzę. Ku tejto krainie powołują was wyroby ducha słowiańskiego.

My, Słowianie, nie mamy nic więcej nad

świeższą pamięć krainy, z którejśmy przyszli, krainy, z której wszyscy ludzie przychodzą, krainy, będącej mieszkaniem ducha. Przybywszy ostatni na scenę tego świata, pamiętamy jeszcze całe rozpołożenie naszej ojczyzny duchowej, i jeżeli uznacie nas za braci, my doprowadzimy was do poznania naszego Ojca wspólnego, do poznania jego domu.

Tak nazywam tę krainę wewnętrzną, tę sferę niewidomą, dobrze znaną filozofom starożytnym: Pytagorasowi, Platonowi; dobrze znaną ludowi stron naszych, który duchem ciągle w niej przebywa; niemniej znaną i naszym mężom wielkim, ale zdawna opuszczoną już i zaniechaną przez doktrynerów i systematyków zachodnich.

Człowiek starej epoki szuka prawdy z pychą, otwiera każdą książkę z uśmiechem wzgardliwym i łowi w niej to tylko, co nie obraża jego miłości własnej, a nadewszystko, co go nie obowiązuje do niczego, nie wyzywa do odważenia się na nic, nie wymaga po nim żadnej ofiary. Prawda dla niego powinna być dogodną, łatwą, zalotnicą. Ale na niwach, gdzie nasz ród ma siedlisko, wszystkie szczątki prawdy nabywają się w pocie ducha. Tam mieszkają miljony ludu, znanego całemu światu, ludu, będącego starszym wszystkich ludów cywilizowanych, miljony Izraela, który z głębi swoich bożnic nie przestaje od wieków wołać krzykiem, z jakim nic w porównanie iść nie może, jakiego zapomniało już

plemię człowiecze; a jeżeli jest co takiego, co może prawdę ściągnąć z wyż na ziemię, to zapewne nie są bez skutku te wniebogłosy, w których człowiek skupia i wystrzela całe swe życie. Mieliżby ci nieboracy, przez tyle set lat stale jękiem i płaczem żebrzący o prawdę, mniej być pewni jej osiągnięcia, niżeli uczeni, spokojnie zagrzebani w książkach, albo ludzie, czerpający światło z pism dziennikarskich? Na niwach naszych żyją miljony ludu włościańskiego, który pod razami batoga i brzemieniem ucisku, zgięty ku ziemi, pracą jego użyźnianej, nie przestaje wzdychać o pomoc do Boga. Pomocy tej wzywają i wszystkie wznioślejsze umysły Zachodu; starają się ją znaleźć nawet doktrynerzy, sami nie wiedząc o tem. Ziemia potrzebuje ratunku. Epoce nowej potrzeba nowego udziału prawdy powszechnej. *(K. IV. 2).*

DO PRAWDY DOCHODZI SIĘ PRZEZ NATCHNIENIE.

Będziemy usiłowali odkryć sposoby, pomagające człowiekowi do wzniesienia się w górną krainę natchnień. Dla łatwiejszego pojęcia, idźmy od rzeczy znanych do nieznanych, pocznijmy od sztuki, starajmy się zdać sobie sprawę z wrażeń, jakie sztuka wywiera na nas. Każdy wielki utwór artystowski nazywają boskim; pokazuje to domysł, przeczucie, że jest w nim coś tajemni-

czego, coś niby nadprzyrodzonego, i to coś uznano za niezbędnie potrzebne dziełu prawdziwie artystowskiemu. Nie dość na tem. Żeby smakować w sztuce, żeby rozognić się widokiem jej płodu, trzeba także pewnego natchnienia, biernego niejako, któreby duchowi widza dało zetknąć się bezpośrednio z duchem sztukmistrza. Jakoż, wrażenie, doznane przez patrzącego, nie jest czem innem, jak zetknięciem się wewnętrznem z artystą. Wrażenie artystyczne, wedle samego przysłowia szkolnego, nie podlega sądowi: o gustach sądzić nie można. Tak tedy, dzięki Bogu, sztukę przynajmniej wyjęto z pod dyskusji, z pod tej choroby dzisiejszych czasów.

Uwielbienie dla sztuki, dla natury, dla czynów bohaterskich wynika z jednego źródła, z intuicji, i filozofja zmuszona jest dzisiaj iść tam czerpać.

Wszyscy ludzie wszystkich wielkich epok twórczych, ci, co ponapisywali prawa, co poodnosili przeważne zwycięztwa, co zostawili światu wysokie pojęcia filozoficzne albo arcydzieła sztuki, wszyscy są podobni między sobą; wszyscy oni działali pod wpływem tegoż samego ducha, i wpływ, jaki wywierali na ludzkość, był zawsze tejże samej natury. Zobaczmy teraz, jak Edmund Burke, sławny krytyk, opisuje wpływ, który na nas wywiera potęga sztuki. „Kiedy nas uderza cokolwiek wzniosłego — powiada — dreszcz nas przebiega, pierś nam się podnosi, i oko otwiera

się szerzej". Człowiek, dotknięty tem wrażeniem, mimowolnie przybiera postawę odpowiednią uczuciu, wydanemu w dziele sztuki. Tak to wzniosłość w sztuce i w naturze działa na tych, co ją czują. I cóż stanowi cechę schyłku każdej epoki, bliskiej swego końca; oto brak siły obudzić w ludziach to uczucie. Kiedy prawodawcy, kiedy mówcy i rządzcy starożytnego Rzymu nie mieli już w sobie tej mocy, tego płomienia żywotnego, coby mogło rozpromienić się szeroko, i zajaśnieć nawet w obliczach zgromadzeń i szeregów, którym przewodniczyli, wtedy poczynało się już skończenie świata rzymskiego i wtedy świat stary ujrzał z podziwieniem ludzi nowych, ludzi, których siła nowa, siła chrześćjaństwa, postawiła nagle pełnych życia, wśród społeczności zgrzybiałej.

Jeżeli trzeba być natchnionym, żeby takie skutki sprawiać, trzeba też, żeby je uczuć, mieć duszę wzniosłą i swobodną do lotu za ludźmi natchnionymi w przyszłość; trzeba mieć, jak Schelling miewał czasami, chwile intuicji. Poznał on niepodobieństwo udzielenia ich Berlińczykom. Dlategoż powiedział, że do filozofji trzeba posiadać organ filozoficzny. To oburzyło przeciw niemu wszystkich filozofów niemieckich i nie bez przyczyny, bo rodzaj ludzi, z którego biorą się filozofowie niemieccy, wcale tego organu niema, albo ma tak stępiony, tak zdrobniały, że ledwo jest w nim ślad jakiegoś za-

rodku. Berlińczycy czują w sobie ten niedostatek, i stąd to pochodzi to dąsanie się ich na wszystko, cokolwiek jest natchnieniem, egzaltacją instynktową, cokolwiek nie podpada pod anatomiczny rozbiór scholastyki.i pokazuje w człowieku znak wyższego życia.

Opisanie, jakie w tej mierze zrobił Burke, możemy dopełnić własnemi postrzeżeniami na zgromadzeniach publicznych. W braku rzadkich teraz zbiorowisk ludowych, dosyć jest przypatrzeć się dobrze słuchaczom, napełniającym sale uniwersyteckie za granicą i we Francji, a łatwo się przekonać, że ten szacowny organ nie jest dany wszystkim narodom, i w tym śamym narodzie nie wszyscy posiadają go w równym stopniu. Niechaj kto szuka typu ludzi zdolnych czuć rzeczy wzniosłe skreślonego przez Burke. Wszedłszy do sali prelekcji w Niemczech, znajdzie się pośród głów obciążonych formułami, posępnych, zwisłych ku ziemi, jak gdyby był w ogrodzie maku. Widać tam zaraz, że wszystkie umysły poskupiały się całkiem w czaszkach, zostawiając serca oschłe i czułe tylko na wrażenia życia zwierzęcego. Jeżeli czasem na tych czołach przemignie coś nakształt radości z pojęcia tej lub owej formuły oderwanej, wzruszenie to, zadrganie, pochodzące jedynie z mózgu, ze krwi, bardzo jest podobne do tego, jakie można widzieć między grającymi w bursę; jest ra-

dością z zysku: nic w niem niemasz przenikającego do ducha.

Żeby zaś pojmować sztukę, żeby pojmować filozofję, i nawet, żeby pojmować przyszłość, trzeba koniecznie wydobyć z wnętrza swojego ten ton boski, który się w niem znajduje; trzeba koniecznie postawić się w stanie, jaki wam teraz opisałem.

Naród, tak zdolny pojmować rzeczy wzniosłe, zapalić się ku nim, wykonywać je, winien te przymioty długiej tradycji poświęceń się, walk, ofiar. Nie mógłby on nawet utrzymać w sobie, doskonalić tych przymiotów, gdyby ciągle nie zagłębiał się w to ognisko wiekami skupione, dla dostawania iskry elektrycznej, idącej z tak daleka, i udzielania jej wszystkiemu, co go otacza.

Kiedy jesteśmy w podniesieniu do tego stanu, wtedy tylko rozpoznajemy naszych nieprzyjaciół i naszych sprzymierzeńców, wtedy tylko umiemy rozeznać ludzi epoki starej od ludzi epoki nowej. Z tem światełkiem przebiegając społeczeństwo dzisiejsze, możnaby łatwo odkrywać przyszłość.

Ludzie epoki przeszłej, ludzie z duszą wyschłą i niezdolną do zapału, używają wszelkich sposobów, żeby zatrzymać tych, co postępują naprzód. Ich giest jest giestem wstrzymującym, jest ruchem, przeciwnym temu drgnięciu, temu rzutowi sokolemu, o jakim mówiliśmy dopiero. „Poczekaj! ostrożnie! nie zapalaj się!“ — to

ich mowa, z kurczem ręki, podobnym do chwytania się konającego, który, zamiast poglądać w niebo, uczepia się stojących przy nim, jak gdyby chciał ich z sobą pociągnąć do grobu.

Zapał jednak, wzruszenie nadzwyczajne ducha, które wynosi człowieka nad jego samego, niema w sobie nic mistycznego, nic urojonego.

Nie sami artyści zdolni są im podlegać; wasi wodzowie, wasi żołnierze wpadali w nie na polu bitew, wy sami doświadczacie tego czasem, czytając książki. Występek najcięższy ludzi starej epoki jest w tem, że to wszystko uznają za bardzo piękne dla poezji, dla sztuki, za godziwe i dobre w chwilach boju; ale w rzeczach, właśnie najważniejszych, najwięcej stanowiących, najświętszych, w poszukiwaniu prawdy, w filozofji, w prawodawstwie religijnem i politycznem, mają tę iskrę za niepotrzebną, to płomię za niebezpieczne, skazują zapał na wygnanie ze świątyń modlitwy i z izb prawodawczych.

Takto zastygłe pogaństwo nie przestaje gnębić życia chrześćjańskiego, ale to życie weźmie nakoniec górę. Chrystjanizm powstał z zapału, utrzymuje się dotąd zapałem, i zapał ten, — choć to niezmiernie zadziwi doktorów zakonu, — ma swoje ognisko w sercach na pozór oddalonych najbardziej od prawdy chrześćjańskiej. Bądź co bądź, wciśnie się on w prawodawstwo, i opanuje dom Boży. Płomię to, o które lud wzdycha, bez którego mu ciężko, samo tylko

może rozniecić życie w Kościele dzisiejszym, bo zapał odstawia człowieka na jego właściwe miejsce, zlewa go w jedno z ludem. *(K. IV. 3)*.

CO TO JEST LUD.

Jestto rzeczą wielkiej wagi posiąść pewne wyobrażenie, co rozumiemy przez lud. Można być w łachmanach chłopa słowiańskiego albo w bluzie wyrobników francuskich i nie należeć do ludu, a można błyszczeć od złota i mieścić się w ludzie. Lud — to człowiek, człowiek wolny w duchu, człowiek, który nie przychodzi z zapasem gotowych systemików. Dlategoż lud, w razach stanowczych, tak prędko i tak niemylnie chwyta prawdę.

Człowiek, pozbawiony tych przymiotów, człowiek, którego serce nie drga na słowo z ust Gracha, albo św. Pawła, taki człowiek nie jest ludem. Darmo on będzie mieszał się w tłumie; po jego wzroku mglistym, po jego mowie, pełnej formułek, poznają go zaraz, że jest człowiekiem starej epoki. Nie takim to ludziom zgotowana przyszłość. Dotąd ponieważ nikt nie dawał ludowi pokarmu, któryby zasilał jego ducha, ponieważ nikt nie pomagał mu rozwijać tego ducha, trudno mu było przyjść do tego stanu duchowości, w jakim prawda daje się jasno widzieć i pojmować. Musiał on jeszcze przebi-

jać grubość swojej organizacji fizycznej, musiał przełamywać nałogi swojego życia powszedniego; dokazywał tego tylko rzadko kiedy, przy pomocy zdarzeń nadzwyczajnych. Bywały to chwile jego wolności. Trzeba było grzmotu dział, wrzasku zbiegowisk publicznych, żeby wyrwać ducha ludu z odrętwienia, bo doktorowie praw, uczeni, nie dopełniając swego obowiązku, zostawili go własnym jego siłom. Ale przyszedł czas, kiedy trzeba postawić ludowi przed oczyma ideał, któryby mu pomagał podnosić się, zapalać się i utrzymywać się w stanie, o jakim mówimy; stan ten jest początkiem wolności prawdziwej. Człowiek, który czuje sztukę, który rozognia się słowem wymownem, przyjętem w otworzoną duszę, który poświęca się za ojczyznę, nie może doświadczyć żadnego z tych wzruszeń bez wzięcia razem w siebie promyka prawdy, promyka wewnętrznego światła, promyka Bóstwa; a wtedy czuje się wolnym, zapomina o sobie, nie patrzy na siebie. Dlategoż widzi on prawdę i urzeczywistnia ją na ziemi, bo gotów jest poświęcić pieniądze, żeby mieć arcydzieło, które go zachwyca, gotów przelać krew, żeby pozyskać zwycięstwo swojemu krajowi, gotów oddać wszystko za prawdę. W takiej chwili czuje się człowiekiem zupełnym.

W tem to znaczeniu brać należy słowa Ewangielji: „Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi“. Dodamy, że ten, co miał nieszczęście

przez dumę zgasić, albo przez niedbalstwo dopuścić, żeby zgasło w nim płomię wewnętrzne, ten, co nie może już czuć nic wzniosłego, nic szlachetnego, ten niezdolny jest być wolnym. Darmo jego okładać jakiemi chcąc kartami konstytucji, zawsze on będzie niewolnikiem.

Powtarzam, że pierwszym warunkiem dla człowieka dzisiejszego jest podnosić się i rozpłomieniać, że temu tylko warunkowi czyniąc zadość, zdoła on zwalić ludzi przeszłych, założyć w sobie kamień węgielny społeczności wolnej, rozeznać trafnie swoich nieprzyjaciół od swoich sprzymierzeńców. Dlaczego przy schyłku epok ludzkość doświadcza ucisku, i wydobywa się w niej przeczucie przyszłości? Oto, że natenczas warstwy ludzi uwiędłe, rzeczywiście niższe, mają górę i gniotą wszystko, co wznioślejsze, wyższe, Boskie. Tak samo dzieje się z narodami. Narody, niezdolne pielęgnować ognia świętego, rządzą światem. Skoro tylko ogień ten zapłonie we Francji lub Słowiańszczyźnie, potęga tych narodów pryśnie.

Na zwalenie rutynistów rewolucja francuska rozpasała namiętności; przeciw ciemiężycielom puściła owych ludzi, których słusznie można przyrównać do lwów i tygrysów, ludzi z instynktem krwiożerczym; na takich bowiem, co się utrzymują rzeczą najniższą, ostrożnością i bojaźnią, niema lepszego środka, jak ich przerazić. Żeby przełamać tchórzliwą ostrożność, trzeba

poruszyć namiętność. Pora namiętności już przeszła: dzisiaj słowo namiętne, chociażby ociekłe krwią i zapienione, jak paszczęka wściekłego zwierza, nie sprawi wrażenia na ludzie. Lud domaga się coś więcej, i coś lepszego: domaga się o słowo wyższe, głębsze, o słowo Boże. Jak w epokach poprzednich była sztuka, zwana Boską, jak byli święci, zwani świętymi Pańskimi, tak teraz chce on mieć naczelników, w którychby przebijała się ta Boskość, chce mieć prawodawstwo, któreby można było uznać za Boskie. Jest to potrzebą powszechną naszych czasów; jest to potrzebą gwałtowną ludów słowiańskich, i nikt jej tak mocno nie czuje, jak to plemię dobre, czułe, głębokie, bitne i religijne.

Okazałem przeszłych lat, jak filozofja, poezja, polityka, szła społem u Słowian, jak te wszystkie prace człowiecze miały głównie tę dążność, aby wydać ludzi potężnych, aby przeprowadzić ich do tego, co sam Emerson nazywa chwilą najwznioślejszą, kiedy człowiek składa przed Bogiem świadectwo swego wszechwładztwa; przyprowadzić do chwili natchnienia.

(K. IV. 3).

NATCHNIENIE W KOŚCIELE.

Kościół jest największem z pomiędzy państw: dotyka z jednej strony królestwa niewidomego, z drugiej królestwa niemego jestestw bądź ży-

wych, bądź nieorganicznych, o którem nie powiedział nam jeszcze ani pierwszego słowa.

Nie umiejętności to rzecz rozwiązać takie zagadnienia. Ten sam duch, co nas wzbija w krainy wyższe, daje nam poznawać prawa zasadnicze krain niższych. Filozofowie starożytni zostawili nam mnóstwo dzieł o polityce i moralności; nie zrobili nigdy nic dla niewolników; nie weszli w pojęcie losu, stanu, cierpień i nadziei niewolników. Święci chrześćjańscy, ci sami, co pierwsi rozmawiali z aniołami, pierwsi też znaleźli sposób dać się zrozumieć niewolnikom. Zakres tedy rozszerzył się daleko więcej. Ludzkość powołana jest postąpić wyżej ku niebu i sięgnąć głębiej w tajniki natury. Gdyby księża mieli uczucie swego powołania, staliby się znowu wielkimi ludźmi, dawaliby kierunek umiejętności i polityce, w których dzisiaj nie przyjmujemy ich sądu.

Intuicja nie jest niczem nowem dla dzieci Kościoła. Kościół pierwotny szedł częstokroć za natchnieniem chwilowem, za popędem mimowolnym, działał, jak nazywamy, intuicyjnie. Czytajcie brewiarz katolicki na dni przeszłego miesiąca. Ambroży, urzędnik rzymski, żołnierz, przybywa do Medjolanu dla uspokojenia zamieszek. Dziecko odzywa się, że go trzeba zrobić arcybiskupem, lud powtarza ten okrzyk. Biorą Ambrożego, podnoszą na rękach w górę, mianują arcybiskupem. Ten człowiek, nieochrzczony jeszcze naten-

czas, stał się ozdobą, doktorem Kościoła. Kazanoż mu pierwej zdawać egzamin z nauk teologicznych? Odsyłanoż go do biur, do komisji, jak robią dzisiaj z ludźmi, mówiącymi o religji? Nie... jedno pacholę uczuło w człowieku nieochrzczonym jeszcze przyszłego Ojca Kościoła, i lud usłuchał głosu pacholęcia. Święty Euzebjusz, którego żywot opisany tamże, nie będąc nikomu znajomym w swojej djecezji, został powołanym na biskupstwo od ludu, który, skoro go ujrzał, uznał w nim świętego: Simulac viderunt probaverunt. Papież Sykstus ś. poznawszy w św. Janie Złotoustym człowieka, którego raz widział we śnie, mianował go arcybiskupem.

Tradycja natchnień zaginęła u ludów do tego stopnia, że dziś nie mogą pojąć dawnego sposobu obierania królów w Polsce, bo ani pamiętają już, że podobnie działo się niegdyś w Kościele.

...Jedyny sposób, jaki pozostaje księżom do zrozumienia ludzi przyszłości, jest teraz odnowić swego ducha w duchu ludowym, który ze wszech stron wzniósł się ponad Kościół.

Ludy nie chcą wywracać Kościoła, ale go podnieść. Przed rewolucją lipcową było wojsko we Francji: nikt nie myślił go znosić, ani wycinać, ale wołano nań: Przyjm nowego Ducha, który drga we wnętrzu narodu francuskiego, przodkuj nam na drodze przyszłości. Wojsko nie posłuchało ludu i zostało starte, a przecież kraj

nie jest teraz bez wojska; na miejsce armji dawniejszej stanęła nowa, młodsza, dzielniejsza.

Narody wołają na Kościół, żeby przyjął ducha nowego...

Jeżeli przyjmiecie tego ducha, stanie się to wam jasno natenczas, czemu tak ciężko teraz przywieść ludy do stóp krzyża, pojednać z Chrystusem Panem.

Oto boście do szczętu sfałszowali ideał Chrystusa. Przedstawiacie Go nam ciągle, jako żebraka, sądzicie, że dosyć wiecznie Go przepraszać, albo się przymilać, a nic dla niego robić nie trzeba. Gdzieżeście to wyczytali, że Syn Człowieczy był żebrakiem? Alboż mowa jego nie była mową mocy? Alboż nie wyganiał faryzeuszów z kościoła? Nie, nigdy on nie żebrał, nigdy nie prawił grzeczności. Nie wyrażał się przez formuły, nie prowadził rozpraw. Nigdy nie wchodził ze złem w układy.

Skreśliłem wam giest ludzi, powołanych do działania w swoim czasie, ludzi, mających w sobie ducha narodowego. Giest ten widziałem nieraz, mogłem go schwycić i oddać. Ale jak wystawić wizerunek nowych dzieci przyszłego Kościoła? Patrzcie na dzieła sztuki. Macie tam wspaniałe twarze św. Piotra, św. Pawła, św. Stefana, pełne razem słodyczy, mocy i wielkości. Wieniec światła otacza im głowy i promienie ogniste biją z ich dłoni. Zobaczycież teraz coś podobnego — nie mówię już o znakach cudo-

wnych łaski, ale o samym wyrazie twarzy, — w dzisiejszych sługach Kościoła? Owi mężowie silni, potężni, na których słowo drżały szeregi zbrojne, bledli oprawcy, rozstępowały się tłumy barbarzyńców, owi ludzie, nieznający spoczynku, pchani ciągle mocą niewidomą do zdobywania krain ze słychu nawet im nieznanych, byli daleko podobniejsi do żołnierzy i wodzów Napoleońskich, niżeli do tych, co się nazywają ich następcami. Św. Stefan poglądał dumnie na katów, zadających mu męczarnie. Nie miał oczu spuszczonych w ziemię. Widział on otwierające się niebo i Syna Człowieczego, który go przyzywał ku sobie.

Na to zło powszechne, na tę chorobę Francji, Polski, Rosji, Włoch i Hiszpanji, nie masz w niczem lekarstwa, jak w wysileniu nadzwyczajnem. Trzeba, żeby ludzie co do tego stopnia przeniewierzyli się swemu powołaniu, poczęli teraz od pokory, od uznania w duchu, że są niczem, a jeżeli nie czują się być przeznaczonymi na wielkich i potężnych, niechże przestaną nazywać się żołnierzami największego i najpotężniejszego z Duchów, żołnierzami Jezusa Chrystusa. Niech wrócą do zatrudnień pospolitego życia, niech nie przemawiają więcej do nas w imię religji, która powstała z cudów i utrzymywała się tylko cudami.

Kaznodziejstwo katolickie tak zlękło się rozprawiań protestanckich, tak uczuło się słabem przeciw filozofom, że nie śmie już mówić o tych

cudotwórcach, co jednem słowem uzdrawiali chorych, co nieraz w oczach ludzi unosili się w powietrze, suchą nogą przebywali rzeki, chodzili po morzu. Kościół, którego byt jest cudem, wystrzega się dotykać cudów; księża nie śmieją mówić o nich publicznie. A jednak, mimo ich, i na przekór im będzie on uratowany, i kiedy oni nie śmieją powiedzieć tego, my powiemy, będzie uratowany przez cud. Wy zaś kapłani, wy nie pierwej, aż dopiero przeszedłszy wszystkie próby, naznaczone człowiekowi, aż przewierciwszy wasze wnętrze świdrem bolu, zdołacie odetchnąć swobodnie, zdołacie spoić nas wszystkich jednem uczuciem miłości. Wtenczas dopiero odbije się na waszych obliczach podobieństwo tych potężnych i jaśniejących twarzy pierwotnego Kościoła. (*K. IV. 4).*

NAPOLEON A CHRYSTUS.

Powiedzieliśmy, że duch chrześćjański oddawna niema już innego organu na ziemi, jak tylko dusze ludzi bolejących i ludzi czynu. Na dowód pierwszego dosyć jest wspomnieć nowoczesne prace myślicieli chrześćjańskich; ale jak przekonać o tem, że owi sławni wodzowie, których wymieniliśmy pierwej, i owi dzielni żołnierze, którzy walczyli pod ich dowództwem, tchnęli istotnie duchem chrześćjańskim? Wo-

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] wiadomo.
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] swo-
[illegible]
[illegible] Bo
[illegible]
[illegible] było
[illegible]
[illegible]
[illegible] była
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] nie miał
[illegible]

ogniska elektryczności. Władzę taką miał dotąd sam tylko Zbawiciel. *(K. IV. 6).*

ODWAGA CYWILNA POTRZEBNA DO DZIAŁANIA.

Dzisiaj nie trzeba już zalecać ludziom wzgardy życia, należałoby raczej starać się dać im uczuć całą jego cenę.

Ale jest jeden rodzaj ofiary, właściwy naszej epoce, przed którym człowiek najodważniejszy, najszlachetniejszy, najwytrwalszy, cofa się niekiedy z drżeniem. Tego rodzaju ofiarą jest poświęcenie naszego ja duchowego, wystawienie go na pociski rozumów i pychy, dowcipów i złości, szyderstw i żartów brukowych. Kiedy mówię o wystawieniu naszego ja, nie rozumiem przez to tych wystawiań naszych opinji, albo uczuć, rzucanych publiczności w pismach i zdaleka, lub też rozsiewanych pocichu między przyjaciółmi. Nie! Przez ofiarę ducha rozumiem czyn człowieka, który przyjąwszy prawdę, przepuściwszy ją przez swoje ciało, nosi ją w sobie, jawi nazewnątrz, służy jej za organ, za twierdzę i za wojsko, nie dbając na spojrzenia, sykania i żądła wrogów. Jest to najzacniejsza i najboleśniejsza ze wszystkich ofiar. Tylko narody bardzo stare mogą czuć, jak ona kosztowna

i ciężka. Wiadomo, że narody najwaleczniejsze i najśmielsze: Francuzi i Polacy, właśnie najwięcej boją się śmieszności, i najtrudniej u nich o odwagę cywilną. To rzecz godna zastanowienia się: leży w tem jedna z tajemnic epoki naszej. Śmieszność jest ulubioną bronią dzisiaj. W rzeczach ducha ona rozstrzyga wszystko, i nie mogło być inaczej. Widzimy tu, jak siła ziemska, materjalna, którą wielu jeszcze uważa za potęgę istotną, ustępuje przed czemś niewidomem, co pochodzi ze świata niematerjalnego. Im jaka broń jest mniej materjalna, tem straszniejsza. Kropelka jadu, którą gad słaby i pełzający nasączy w swoją mięką paszczękę, bardziej jest niebezpieczną od ukąszenia lwiego, zadaje śmierć niechybną. Są takie dusze, co podobnym sposobem, jak płazy, narobiwszy cicho we wnętrzu swojem trucizny, napuszczają nią uśmiech swojej twarzy: jad niematerjalny razi ducha, odbiera mu władzę. Im człowiek jest duchowniejszy, tem tkliwszy na pociski tej nowej broni złego. Po otrzymanem zwycięstwie nad ziemią musi on zwyciężać w duchu. Skoro stanie, nie jako krasomówca lub adwokat, ale jako żołnierz prawdy, uczuje się być nietykalnym. Węże i żmije, jak mówi Pismo, nie będą mogły mu szkodzić. *(K. IV. 7).*

SŁOWO JEST MOCĄ I CHLEBEM.

Idea słowa jest kluczem do wszystkich zadań, któreśmy roztrząsali i które jeszcze roztrząsać nam pozostaje. W tym względzie wypada mi przypomnieć, przytoczone już dawniej z innego powodu wyrazy jednego polskiego poety, opisującego słowo i tego, kto je ma w sobie. „Błogosławiony ten — mówi autor Komedji Nieboskiej — w kim zamieszkało, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki Pan, przed którym zniżają się stworzenia... Taki będzie je nosił, gdyby gwiazdę na czole swojem... i wystąpi mężem pośród braci swoich“. — Owóż co człowieka czyni mężem, co stanowi cechę męża, jest to moc. Moc, jeszcze jeden wyraz sakramentalny naszej epoki, wyraz, znamionujący mowę nowoczesną. Kościół urzędowy, który tyle wyrazów i sposobów mówienia wziął od umiejętności świeckiej, tego jednego wystrzega się ciągle, nie wprowadza go ani do pism, ani do kazań swoich. Kościół lęka się mocy. I cóżto jest moc? Moc, to słowo, które już urzeczywistnia, wchodzi w życie, daje żywotność, karmi. Ewangielja powiada, że człowiek żyje nietylko chlebem, ale i słowem Bożem. Odwołując się do ewangielji, można rzec śmiało, że jeżeli gdzie objawia się niedostatek i głód duchowy, to

pewno tam zabrakło słowa Chrystusowego. Ewangielja rozsiana była po świecie na zasiłek ducha ludzkiego. Skoro zaś zważymy wpływ ducha na stan fizyczny człowieka, odkryjemy i prawdziwą przyczynę nędzy materjalnej, która w istocie jest niczem innem, jak tylko następstwem nędzy moralnej; a wtedy łatwo da się nam pojąć i ta jeszcze cudowność słowa, jego działalność na ciało, jego pożywność. I to jest właśnie, co obudza nową skargę przeciw ludziom, z których winy zaginęło użycie tej mocy tajemniczej; bo niezawodnie słowo może nakarmić.

Przeszłych lat opisując stan fizyczny ludów słowiańskich, podawałem przykłady dowodzące, że człowiek o tyle tylko ulega nędzy materjalnej, o ile traci swoją siłę moralną, to jest wiarę. Tatar, jak mówiłem, jada daleko mniej, niżeli chłop słowiański, a jednak nie słaby; Trapista pości jeszcze bardziej od Tatara, i mimo to ma się dobrze. Żołnierz francuski nie lepiej jest karmiony, jak robotnik, a przecież wygląda czerstwiej i rzeźwiejszy od robotnika. Odbierz Trapiście wiarę w przyszłe życie, a obaczysz, że za kilka dni umrze z wycieńczenia; niechby w Tatarach znikła cześć, jaką mają dla swojego chana, nie zdołaliby wytrzymać nawet ostrości powietrza, pod jakiem żyją. Horda tatarska, pozbawiona chana, jest hordą zgubioną. Tatar i walczy, i żyje tylko przez posłuszeństwo swojemu chanowi. Nieraz całe tabory tych koczow-

ników przebywały niezmierne stepy od Orenburga do Chiwy, wytrzymując takie zimno, że zwierzęta i ptaki znajdowano zmarzłe, ale nigdy żaden jeździec tatarski nie puści się w tę pustynię z samej tylko własnej ochoty, albo dla własnego przedsięwzięcia: wtedyby nie wytrzymał. Na podołanie trudom tej podróży potrzebuje on być natchnionym siłą, jaką mu daje rozkaz chana. Gdyby nie ta bojaźń, połączona z pewnym rodzajem poddania się swemu przeznaczeniu, jaką żołnierza rosyjskiego przejmuje ciągle idea, że jest w służbie carskiej, nigdyby nie zniósł ciężaru i nędzy życia podobnego. Zniszcz w żołnierzu francuskim ideę honoru, zagaś w duszy jego ten płomyk patrjotyzmu, który go ogrzewa i podnosi, a wnet pocznie usychać z biedy. Cóż więc jest, co tak zasila i pokrzepia ludzi, którzyby istotnie powinni zawsze na głód i niewygody narzekać? Co daje uczucie mocy i godności im, ogołoconym ze wszystkiego, kiedy tuż obok nich wielu bogatych samolubów jęczy, albo zabija się z rozpaczy po stracie cząstki majątku? Powiedziałem już: wytrwałość, siła jednych pochodzi stąd, że mają jakąkolwiek wielką ideę, słabość, upadanie drugich jest skutkiem, że jej nigdy nie mieli, albo, mając, utracili. To, co rozumiem tu przez ideę, można sobie, jak chcąc, nazwać: przekonaniem, opinją, przesądem, urojeniem; ale, że to jest, temu zaprzeczyć nie można, bo fakty świadczą

za tem. Mówimy często o tym lub o owym, że żyje nadzieją, karmi się urojeniami; nie słyszałem nikogo, żeby powiedział o kim: żyje dyskusją, karmi się doktryną. Z dwojga złego, lepsze już urojenie, niżeli doktryna. Ale cokolwiekbądź, urojenie czy idea, nie chodzi tu o wyraz, zawsze trzeba przyznać, że jest coś takiego, co będąc niematerjalnem, niedoścignionem, nie podpada pod rozbiór chemiczny, nie daje się schwycić uczonym, a jednak wywiera moc na nasze ciało. *(K. VI. 8).*

SŁOWO.

Mówiliśmy o cudowności słowa żywiącego, o duchu, stającym się pokarmem. Historja Zachodu opowiada nam dalekie przedsięwzięcia i wielkie zwycięstwa wojsk i garstek zbrojnych, które, nie mając ani bodźca, ani punktu podpory, ani zasiłku w niczem innem, jak tylko w duchu religijnym, umiały znosić głód i wszelkiego rodzaju trudy. Czytajcie dzieje wypraw krzyżowych. Pod tym względem narody chrześćjańskie pokazały wyższość nad wojownikami starożytnymi. Armja grecka lub rzymska, z trzech, lub czterech kroć sto tysięcy wojska złożona, nie puściłaby się nigdy tak awanturniczo na wyprawę, nie mając sobie zapewnionej podstawy działania, magazynów żywności. Żaden postęp

wojsk rzymskich nie zdołałby się ostać, gdyby mu przyszło walczyć z tem wszystkiem, co Krzyżownicy w Palestynie, a Krzyżacy w Prusiech musieli znieść i wytrzymać. Siła fizyczna, widocznie, nie mogła tam sama wystarczyć. Owszem, kronikarze ówcześni to postrzegają, że z pomiędzy rycerstwa najsłabsi i najdelikatniejsi ciałem, szlachta i baronowie, wychowani w wygodach i miękościach dostatku, pokazywali najwięcej wytrwałości na głód i trudy. Mając bardziej rozwiniętego ducha, mogli oni dzielniej przełamywać i zwyciężać opór i potrzeby swojej natury ziemskiej.

Lud zdziwiony taką mocą życia w tych wojownikach, powziął mniemanie, że były wróżki i czarownice, które jakimś tajemnym sposobem odbierały im na cały ciąg wyprawy potrzebę jedzenia i spoczynku. Z tej powieści Cervantes robił sobie dowcipne żarty, ale bo Cervantes żył już w czasach, kiedy nie pojmowano cudowności wieków średnich.

Cezar mówił do swoich żołnierzy zbuntowanych, że będą wolni go opuścić, skoro nie potrafi dostarczyć im żywności. Dzisiejsi wodzowie nie lękają się wojska na głód narazić, nie dając mu bynajmniej dlatego prawa rozejść się z pod chorągwi. W wojnach rewolucyjnych pokrzepiano żołnierza, mdlejącego z głodu i znużenia, każąc mu śpiewać Marsyljankę. Ah! bo wtedy bywało, że słowo zastępowało pokarm.

Mógłbym wiele podobnych przykładów przytoczyć wam z dziejów ostatniej wojny polskiej.

Dzieje wojsk francuskich pełne są rysów poświęcenia i szlachetności: chrześćjanin może w nich znaleźć, z czegoby się zbudował. Nie mniemajmy wszakże, że to jest skutkiem ogólnego postępu narodów cywilizowanych. Dzieje innych ludów, historja nowożytna Anglji, nie podają nam nic, coby miało podobną cechę. Anglja nie myśli nawet ubiegać się o zaszczyt z poświęcenia się i szlachetności tego rodzaju. Poświęcenie się rycerskie, szlachetność rycerska, są i będą zawsze cnotami, znamionującemi szczególnie historję Francji i Polski! Nie mam w tem nawet potrzeby odwoływać się do waszych dziejów dawnych: teraźniejszość świadczy o przyszłości. Każdy z nas widział, albo słyszał od tych, co widzieli, opowiadane takie zdarzenia, że mogłyby iść w porównanie z najpiękniejszemi rysami średniowiecznego rycerstwa. Podczas ostatnich krwawych zaburzeń w Ljonie jeden rzemieślnik, strzeliwszy do żołnierza, wyzywał go zapalczywie, żeby nawzajem odstrzelił. „Zabij mię" — wołał. „Odstąp, odpowiedział żołnierz, ja tak z blizka nie strzelam". Bardzo można wątpić czy znalazłoby się tyle chrześćjańskiej miłości bliźniego w sercach ideologów, teologów i dziennikarzy. Gdyby ich pióra mogły jak karabin śmierć zadać, żadenby podobno nie zatrzymał się z wystrzałem przez wzgląd, że prze-

ciwnik stoi zbyt blizko. Żołnierz i prostak pokazują jeszcze na politycznem polu miłość bliźniego. *(K. IV. 8).*

SŁOWO.

Zastanawiając się nad wewnętrzną pracą naszego ducha, moglibyśmy już przyjść do niejakiego poznania Słowa Bożego; bo każdy z nas ma w sobie iskrę Bożą, ma swoje Słowo Boże, i wszystkie nasze dzieła są Słowami cząstkowemi. Co to jest ten błysk, w którym artysta pojmuje odrazu cały zarys, cały pomysł swojego dzieła? Błysk ten jest tego dzieła Słowem. Pozostaje napisać, wyrobić, pokazać w ziemi to światło Boże; ale trudność już uprzątniona, rzecz już się stworzyła w jednej chwili. Chwila, kiedy Archimedes zadrgał z radości, że znalazł rozwiązanie jednego z wielkich zagadnień matematycznych, była Słowem. Chwila, kiedy Newton zawołał: Odkryłem tajemnicę ciążenia, była Słowem. Chwila, kiedy Napoleon po zwycięztwie nad Austrjakami pod Arcole rzekł: Jestem człowiekiem Francji! była chwilą, w której uczuł, że był Słowem Francji. Do chwil tych twórczych przychodzi się wielorako, a zawsze przez boleść; przez boleść umysłową, jeśli duch wytęża się nad jakiem zadaniem scientyficznem; przez ucisk serca, jeśli człowiek w jakiem nie-

bezpieczeństwie nagłem, w jakiem położeniu trudnem, wysila swego ducha i postrzega drogę ratunku. Po boleści więc następuje chwila twórcza, potem wykonanie i rzecz staje. *(K. IV. 8)*.

OGIEŃ ŚWIĘTY.

Teraz łatwo da się pojąć, dlaczego już nie było ideału na ziemi, nie było wzoru powszechnego dla czci i naśladowania ludziom, chcącym żyć po chrześćjańsku. W wiekach średnich wszyscy rycerze kształcili się na podobieństwo bohaterów wypraw krzyżowych, dociągali się do Godfreda z Bouillon, do Ludwika Świętego; księżom stał przed oczyma Inocenty III., ten władacz myśli europejskiej: dzisiaj, gdyby Słowianie odezwali się do was: „Podajcie nam ideał, wskażcie nam człowieka naszych czasów, którego uważacie za najdoskonalszego, a my gotowi wszystko zrobić, aby go naśladować, i wszyscy wtedy będziemy podobni jedni drugim, jak byli podobni sobie męczennicy, naśladujący swego Mistrza Chrystusa w męce Jego", — cobyście im na to odpowiedzieli?

Zawsze, kiedy idea przychodzi do realizacji, musi koniecznie zjawić się ideał, człowiek wzorowy. Co najsławniejszemu z Ateńczyków nie dawało zasnąć spokojnie? Nie książka, nie rzecz z powieści słyszana, nie idea, ale Milcjades,

ideał w człowieku. Cezar nie płakał nad książką; tylko ludzie nieczynni płaczą nad książkami: Cezar wylewał łzy przed posągiem Aleksandra.

Otóż, kiedy nie masz ideału, nie dziwujmy się, że ludzie zasypiają, chociażby byli Temistoklesami! Nikt nie zdoła ich obudzić, jak tylko ten, kto sam będzie się czuł być człowiekiem-ideałem, kto będzie posiadał przymioty i dary, do których wzdychamy. Mając przed oczyma chrześćjaństwo, zrealizowane w człowieku świętym, potężnym i szczęśliwym, nie będziemy już mieli prawa mówić, że wiara jest martwą, że człowiek nie stworzony do szczęścia.

Z tego, cośmy powiedzieli, można domyślić się, jakich przymiotów i cnót wymagamy, i jakie uznane będą w człowieku, przeznaczonym służyć za ideał epoce teraźniejszej. Powinien on nie być ani za obrębem, ani niżej chrześćjaństwa; powinien połączyć w sobie świętość Kościoła pierwotnego z wytrwałością Kościoła walczącego wieków średnich i z mocą zwycięską Kościoła czasów przyszłych.

Mówiliśmy, że zdolność rozpłomieniania się, którą możnaby nazwać zdolnością przyjmowania Ducha Świętego, jest cechą, znamionującą ludzi, przeznaczonych służyć Kościołowi przyszłemu. Jakiż znak, kto już gotów do tego? Po tym to znaku mają być teraz rozróżniane i wedle jego miary stopniowane narody. Każda epoka wprowadza nowe stopniowanie narodów: co było

wielkiem i wysokiem przed chrześćjaństwem, zostało później uważane za barbarzyńskie i nizkie. Tak też będzie i w epoce naszej.

Znakiem tym, dowodem jedynym, że się żyło w chrześćjaństwie, że się postępowało z chrześćjaństwem, że się ma gotowość posunąć dalej chrześćjaństwo, jest ogień święty. (*K. IV. 11*).

POTRZEBA ŻYCIA NOWEGO.

Epoka nowa ma takie przeznaczenie postawić ludziom ideał nowy i całkowity, ideał, któryby zawierał w sobie całą przeszłość i mógł być wzorem przyszłości.

Ród słowiański, a szczególniej naród polski, pierwszy został gwałtem przywiedziony do poznania, że religja, jak ją praktykowano w pierwotnych czasach Kościoła i później w wiekach średnich, nie wystarcza już wymaganiom prawym człowieka dzisiejszego, a został przywiedziony do tego następną koleją.

Słowianie przyjęli religję chrześćjańską masami; byli przez długie uciski przygotowani do jej przyjęcia. Cały ten lud znał miłość, uległość, wytrwanie; cały został od razu mnichem-żebraczym: wszystkie jednak te cnoty nie uchroniły go ani od najazdów obcych, ani od jarzma domowego. Zdobywcy barbarzyńscy i władzcy swoi

właśni korzystali z tych cnót mniszych, a odmawiali ludowi tego, co dawano mnichom: poszanowania i jałmużny. Niemasz rady dla ludu: musi albo ginąć, albo pojąć i pełnić swoją religję inaczej, jak dotąd pojmował i pełnił; niedość, że znalazł w niej siłę znoszenia niesprawiedliwości, musi znaleźć moc, aby obronił sprawiedliwość.

Barbarzyńcy, gnębiąc Słowian, dopytywali się, kto możniejszy, Jezus Chrystus, czy ich bogi?

Francja była niegdyś wystawiona na tę samą próbę. Postrzeżono się podczas najścia Normandów, że było za wiele klasztorów, a za mało twierdz. Francuzi chwycili się do broni i dali opór: poznali oni, że chrześćjaństwo nie wyłącza prawego użycia siły; Słowianie opuścili ręce, i cierpieli.

Pokora i poddanie się ich nie rozbrajały srogości Mongołów. Straszliwy ten lud od czasu do czasu spadał na Słowian, ogniem i mieczem doświadczać ich wiary. Podobny Bogu Jakóba, nie daje się on niczem zmiękczyć jak tylko przemocą, nie pobłogosławił nikomu, jak tylko zwycięzcy. Dla słabości niema on miłosierdzia, — słabość u niego zbrodnią.

Dżengis-Chan mówił narodom, błagającym go o litość: „Gdybyście nie byli grzesznikami, Bóg nie opuściłby was i nie zesłałby nas na karki wasze“.

Turcy podobnie odzywali się do Polaków.

Wieloletnia wojna Turków z Polakami była walką o przewagę Chrystusa, albo Mahometa. W tem to znaczeniu Jan III., złamawszy potęgę ottomańską pod Wiedniem, rzekł: „Teraz już Turcy nie będą nam mówili: pokażcie swojego Boga".

Dlatego, że chrześćjanie nie mogli pokazać swojego Boga w całej jego potędze i mocy, potrzeba było na nich Turków i Tatarów, którzy przyszli ukarać to niedołęztwo duchowe.

Po Turkach i Mongołach rządy, mianujące się być chrześćjańskiemi, wzięły Słowian na doświadczenie w inny sposób. Austrja mówi im: „Bądźcie chrześćjanami takiemi, jak dawniej, módlcie się sobie, siedźcie po klasztorach, nie wdawajcie się w próżny rozruch świata, a będziecie się tuczyli spokojnie". Część Czechów dała się tem ułowić, ale postrzegłszy się później, że ten byt dobry umarzał ich życie duchowe, poczuła wstręt ku niemu i poczyna wracać do ruchu.

Z drugiej strony rząd inny, otwartszy od austrjackiego, odzywa się poprostu: „Dajcie się krzyżować" — powiada — „naśladujcie w cierpliwości i pokorze Zbawiciela. Dajcie się krzyżować bez oporu, a pozyskacie zbawienie dla dusz waszych".

I są tacy, którzy w dobrej wierze dają się krzyżować, przedłużają do dziś dnia życie wieków średnich; ale żadna moc ludzka nie zdoła cały wielki lud zmusić, aby szedł tą drogą,

przyjął tę naukę. Ile było narodu Bożego, ile było chrześćjaństwa w życiu historycznem Słowiańszczyzny i Polski, oburzyło się przeciw tej nauce tchnącej śmiercią, wzniosło się wyżej nad ten symbol; bo to wszystko przeczuwa, przewiduje i głosi chrystjanizm tryumfujący.

Nie teorje zatem, nie książki, nie rozprawiania, ale napady, rzezie, łańcuchy, wygnania, obudziły i popchnęły dalej ducha ludów słowiańskich. Ciąg parcia przeciwreligijnego dał im uczuć potrzebę działania religji. *(K. IV. 11)*.

CZŁOWIEK WIECZNY.

Co w nas jest postępującego ciągle, to nasz człowiek wewnętrzny, nasz duch. Postęp, jakieśmy już mówili, nie zależy na czem innem, jak na rozwijaniu się naszego jestestwa wewnętrznego, na jego zbliżaniu się ku Bogu. Jesteśmy w postępie, kiedy czujemy się być mocniejszymi, bo to dowodzi, żeśmy bliżsi Boga, który jest wszechmocnością; jesteśmy w postępie, kiedy czujemy się być lepszemi, a tem samem zbliżonymi bardziej do najwyższej dobroci; jesteśmy w postępie, kiedy nam jaśniej i szczęśliwiej, jako połączonym ściślej ze źródłem światła i szczęścia.

Religja, dopóki była poczuwana głęboko i jawiona potężnie, nie wzywała ludzi do czego in-

nego, jak tylko także, żeby posuwali się naprzód, wstępowali wyżej. Posuwać się i wstępować, to treść wszystkich zalecań nauki chrześćjańskiej. Dalej tedy żołnierze przyszłości! idźcie ciągle, wstępujcie bez ustanku i lata waszego życia, wieki trwania waszych narodów, epoki Kościoła, uważajcie jako szczeble, prowadzące was w górę.

Idzie tu o zasadę naszego życia religijnego i moralnego, a zatem o nasze zbawienie, we wszystkich znaczeniach tego wyrazu. Każdy z nas ma prawo rzecz, tyczącą się jego zbawienia, rozwiązać, stawiąc się, jako człowiek wieczny.

Idzie wam o wasze zbawienie? — powiedzą doktorowie Kościoła urzędowego, — alboż niewiadomo, jak je osiągnąć: módlcie się, rozmyślajcie, spowiadajcie się. Na to człowiek wieczny mógłby odpowiedzieć, że już czternaście wieków, jak pełni to wszystko, a jednak jeszcze nie został zbawiony. Wtedy możeby mu radzono przedsięwziąć rodzaj życia doskonalszy. Jaki tam świątobliwy trapista rzekłby mu: zamknij się w klasztorze, albo też idź na pustynię, pokutuj, oderwij się zupełnie od ziemi, a będziesz w niebie. — I to już robiłem, mój ojcze, — odpowiedziałby znowu człowiek wieczny. — Tysiąc trzysta lat temu umarłem na górze Karmel, kanonizowano mnie po śmierci, a mimo to nie mam jeszcze nieba. Całe życie powtarzałem w mo-

dlitwie Pańskiej: Przyjdź królestwo Twoje, a widzę, żem nic nie uczynił, aby przyszło. — A, boś się wziął nie do swojego, — powiedzą mu, — twoja rzecz działać: działaj, walcz, idź z krzyżem pomiędzy niewiernych. — Robiłem to: byłem ja Francuzem, jednym z tych, co u nóg św. Ludwika pomarli na piaskach afrykańskich, a otom znowu na ziemi, która, jak mnie się zdaje, podobniejsza dziś do piekła, niżeli natenczas była. Cóż teraz pozostaje nam czynić?

Nie wiem, jakąby na to dał odpowiedź Kościół urzędowy człowiekowi wiecznemu. W razie milczenia ze strony Kościoła, nie brak reformatorów świeckich, gotowych służyć radami. Od nich możemy usłyszeć, że ponieważ religja nie dotrzymuje swoich obietnic, to znak, że niezdolna uczynić im zadość; że niemasz już co oglądać się na religję, że człowiek wieczny w swoim całym żywocie tysiącznoletnim mylił się ciągle. Zbawić się — powiedzą — nie jestto uciec z placu, ale zwyciężyć. Bohater zbawia się, zbawiając wojsko. Kościół Chrystusowy nie uczył nas szukać zbawienia w ten sposób, odwołajmy się więc do r o z u m u l u d z k i e g o. — Jeżeli Bóg nam nie pomaga, wezwijmy w pomoc naszych braci, ludzkość całą; zróbmy rewolucję polityczną. — Robiłem ją. — Panowie moi — odpowie i tym razem człowiek nieśmiertelny — robiłem niedawno. Czyż mię nie poznajecie? Ja zasiadałem w Konwencji obok Robespiera i Dantona. W imię

tych właśnie idei, o których mówicie, my wprowadziliśmy wielkie i piękne formy, ale to nie zaspokoiło ani ludu, ani filozofów, bo znowu słyszę o innych projektach reform, o innych systemach. Kiedy stracono nadzieję dostać się do nieba, poczęto obiecywać zmiany społeczne, mające ziemię uczynić niebem. Nim to nastąpi, każą nam czekać bezczynnie; a tymczasem życie moje ubiega, nagli mnie do działania. Co mam robić?

Żeby to pytanie rozwiązać w duchu i rozwiązanie jego zrealizować na ziemi, istotnie trzeba postawić się na miejscu człowieka wiecznego; trzeba uczuć się członkiem swego Kościoła, synem swego narodu, potomkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej; trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót, jakie naddziadowie nasi nabyli w pocie czoła, i w ofiarach krwawych, trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zmienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek w historji było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się, w nas, jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siła. Takim był Syn Człowieczy, takim musi być Człowiek przeznaczony, dzieło jego prowadzić dalej w epoce teraźniejszej. Człowiek ten będzie powinien mieć żarliwość apostołów, poświęcenie się męczenników,

prostotę mnichów, śmiałość rewolucjonistów 93-go, męztwo niezachwiane i piorunującą odwagę żołnierzy wielkiej armji francuskiej, a gienjusz ich wodza. Oto są rysy człowieka ideału naszej epoki. *(K. IV. 12).*

OŚWIATA NARODOWA.

Oświata narodowa wynika z wielkich wypadków w narodzie i szerzy się sama przez się podaniem żywem. Naród nie inaczej nabywa oświecenia w religji, w polityce, w moralności, jak tylko za pomocą wielkich przykładów. Potrzeba mu do tego wielkich czynów, a zatem i wielkich ludzi. Przez cały ciąg wieków średnich mieszczanie i chłopi kształcili się moralnie słuchaniem opowiadań żywotów Świętych i dzieł rycerskich, wzruszaniem się przykładami ofiary, męztwa, szlachetności. To mieszczanina i chłopa pierwej, nim wstąpił na pole bitew zeszłego wieku, uczyniło wewnętrznie rycerzem i bohaterem.

Tylko ten rodzaj oświaty wpływa istotnie na moralność życia domowego. Skarżą się teraz na rozprzężenie rodzin, na bezrząd domowy. Kobieta, powiadają, zostaje zawsze pod kierunkiem księży i odbiera wychowanie przeciwne mężowskiemu: niemasz harmonji w pożyciu, niemasz wspólności celu w dążeniu duchowem, niemasz

zgody! To złe domowe jest niczem więcej, jak następstwem ogólnego złego; skoro cel dążności narodowej zniknął, życie domowe tem samem musiało pójść na rozdroże.

W wiekach średnich kobieta w swojej sypialni modliła się za tę samą sprawę, za jaką mąż walczył na polu bitwy, i była pewną, że tem pomagała mężowi. Byli więc potrzebni jedno drugiemu; zmierzając do jednego celu, służąc jednej sprawie, czuli się być w spółce duchowej. Dzieci zachowywały żywą pamięć rodziców zmarłych: prosiły matki o wsparcie, jak świętej, uczyły się dziejów ojca, czerpały z nich naukę polityczną i wojskową.

Niechaj nikt nie mówi, że to przez przywiązanie do przeszłości, albo przez niechęć zajęcia się rzeczami ważnemi dzisiaj, kobieta ucieka się pod opiekę księdzowską. W pierwszych czasach chrześćjaństwa nie zrażała kobiet ważność rzeczy, zajmujących chrześćjan, i nie trzymały się one upornie rad kapłanów pogańskich. Wtedy czucie ich dało im odgadnąć wyższe i mocniejsze życie w religji chrześćjańskiej; teraz toż samo uczucie ostrzega, że nie mają niczego spodziewać się po systemach filozoficznych i socjalnych: wolą więc ludzi przeszłości, niż ludzi systemowych, mniej wartych, niż umarli, bo jeszcze żyć nie zaczęli. Prawdę mówiąc, oni istotnie nie żyją, to ich systemy żyją tylko.

Jakież, proszę, rzeczywiste życie, może jawić

człowiek, który przeszedł całkiem w pojęcie oderwane?

Ci, co utrzymują, że ludzkości nie potrzeba już cudów, narodom bohaterów, rodzinom świętych opiekuńczych, niechże u siebie kosztują owoców swoich doktryn materjalistowskich, formuł prawdziwie bezdusznego świata. Wygnawszy ze swojego domu świętych i bohaterów, ojciec rodziny postrzeże się sam wśród niej obcym, nie będzie miał co powiedzieć żonie, dzieciom, służącym. Duch kobiety, jak i duch człowieka prostego przy jakichkolwiekbądź zatrudnieniach powszednich, potrzebuje czasem odetchnąć swobodnie wielkiem życiem narodowem. Życie to wydają i utrzymują wielkie czyny. Możnaż myśleć, że kobieta porzuci swój złoty ołtarzyk, opuści kazanie, żeby pójść słuchać narad spekulacyjnych, projektów przemysłowych, mów akademickich, albo, że lud zrzecze się czci wielkich dla oddawania chwały pięknym teorjom?

Dosyć, żeby filozof zastanowił się nad tem, co się dzieje w jego rodzinie, a pozna, jak podobne wymagania są daremne. Nie tymto sposobem oderwać kobietę i lud od przeszłości. — Jeden tylko jest środek pokonać przeszłość, a to ten: postawić przeciw niej teraźniejszość równie rzeczywistą, a razem daleko potężniejszą i świetniejszą: na miejsce ideału czasów pierwotnego Kościoła i wieków średnich, wprowadzić ideał czasów nowożytnych.

Podnosić ludzi ku Bogu, budzić w nich uczucie wielkich rzeczy, popychać ich do wielkich i wzniosłych czynów, to jedyny środek pracowania dla szczęścia narodów i rodzin, to, krótko mówiąc, sposób gotowania ich, aby potrafiły znaleźć i uznać ten Ideał. *(K. IV. 12).*

PRAWDY SZUKA SIĘ
PRZEZ DZIAŁANIE.

Wielkimi ludźmi są ci, którzy więcej i lepiej pracując od swoich współczesnych, a zatem, zaszedłszy dalej, niż oni, potrafili prędzej obudzić w łonie swojem ten zaród Boży, tego Boga tajemnego, co był jedynym doradcą Karola Wielkiego i Piasta, Sobieskiego i Napoleona, doradcą i pomocnikiem.

Jeżeli naród cały zdoła stanąć w warunkach otrzymywania tych natchnień wyższych, któremi odznaczają się ludzie wielcy, ma on prawo zwać się narodem wielkim. Wielkość narodu odpowiada stopniowi rozżarzenia jego ogniska ojczystego, i działalność narodu obejmuje tem szerszy zakres, im dalej sięga jego promień sympatyczny. To wszystko zależy od jednego pierwiastka duchowego.

Mówiliśmy, że ten sam pierwiastek, co wydaje bohaterstwa, mądrość prawodawczą, sztukę, jest zarazem źródłem odkryć na polu umiejętności.

...Umiejętność, ciągnięta z książek, niezdolna, jak sama to wyznaje, wygrywać bitew, tworzyć kodeksów, wydawać arcydzieł sztuki, zdobyć się nawet na wyrażenie szczęśliwe, bo na to wszystko potrzeba gienjuszu, spodziewa się jednak dokazać rzeczy największej, zrobić odkrycie najwyższe, znaleźć nowe prawo moralne, słowem, nową syntezę, jak się mówi językiem szkolnym. Wszystkie żądania, wszystkie widoki filozoficzne, ...ą się dzisiaj w końcu do nadziei znalezie... syntezy nowej... Próby te, podobne są ...ań tych, greko- i goto-filów, co chcieli ...sztukę grecką i rzymską. Nie znali ...ogli pojąć tego, że, aby to zrobić, ...o żyć, jak żyli Grecy i rycerze wie...aich. Otóż podobnie jest i z syntezą. ...y wieża gotycka wyszła nagle z drzwi salonu paryskiego, byłoby to mniejszym ... niżeli poczęcie się syntezy w gabinecie jakiego literata.

Jak analiza, tak synteza, wiedzcie o tem dobrze, nie są działaniami dowolnemi czyjejkolwiek głowy, są to nałogi umysłu, nabyte w życiu moralnem człowieka i pochodzące z ducha czasu... Mamy w ewangielji o żydowskim filozofie, Nikodemie, który, żyjąc także w czasach krytyki, chciał otrzymać syntezę i ze zdumieniem usłyszał, że pod jednym warunkiem tylko można ją znaleźć: trzeba się odrodzić. Ten nauczony w Izraelu wszystko wiedział, prócz tej

jednej rzeczy. Szkoły filozoficzne, chcąc prowadzić dalej, aby postawić nanowo syntezę chrześćjańską, powinnyby mieć przestrogę w surowem napomnieniu, danem piśmiennikowi żydowskiemu.

...Jest jeden sposób, na który umiejętność mało zwraca uwagi, ale nam wszystkim znajomy i przez nas wszystkich mniej więcej używany w obcowaniu, a nawet w poszukiwaniu prawd: tym sposobem jest działanie. Powiedziałem, że przezeń dochodzimy do prawdy. Tak, istotnie. Chcemy, np., zapewnić się o tym lub owym przymiocie moralnym w kimkolwiek, działamy wobec niego i używamy go do czynu. Ma on męstwo, jest walecznym? Dowiemy się tego, rzucając mu wyzyw, albo, wołając go w pomoc.

...Wszelkie działanie jest syntetycznem; działanie to rzecz w duchu, w ciele, w czynie; to teorja, polityka i rezultat. Tak, tedy, szeregiem czynów postępujemy ku prawdzie.

...Działania (jednak) prawdziwego nie bierzemy za jedno z popędem, nadawanym przez interesy, albo namiętności chwilowe. Popędy i środki wykonania czynów, któreśmy mieli na myśli, leżą poza obrębem dzisiejszej działalności ludzkiej. *(K. IV. 13).*

DUCH POWINIEN OPANOWAĆ ZIEMIĘ.

...Chwile natchnień dają nam odrazu uczuć w sobie większą niż zwyczajnie mamy siłę, jasność, pewność wszystkich władz naszych i nawet środków ich użycia. Cóż to są te chwile natchnień? Są to podniesienia się ducha do krainy wyższej. Jeżeli bowiem nagle czujemy się być napełnieni mocą nieznaną, jakiej nie otrzymujemy żadnym zwykłym sposobem, jakiej nie mamy w powszednim stanie, moc ta musi pochodzić z krainy niewidomej i niedotykalnej.

Natchnienie zawsze będzie dla człowieka dobrej wiary dowodem bytu świata niewidomego, tajemnego, bytu, który chrześćjanin przyjmuje jako dogmat, a filozof szczery musi uznać przez samą logiczną konieczność.

Owóż, póki Kościół działał na rozwinięcie ducha ludzkiego, pomagał ludziom podnosić się do krainy światła i siły, wszyscy biegali do Kościoła, żeby za jego pośrednictwem stykać się z niebem. Każdy wracał z nabożeństwa kościelnego mocniejszym, dzielniejszym, lepszym ojcem rodziny, lepszym artystą, lepszym żołnierzem. Ale historja i rzeczywistość świadczą, że od wieków Kościół przestał wprowadzać do nieba, sam nawet do niego już nie wchodzi, od wieków w czynach Kościoła nie widzimy żadnego pierwiastku, któryby nie był znany synom ziemi,

nie widzimy nic takiego, coby się nie mogło znaleźć poza Kościołem.

Tymczasem wszakże ludzkość postępowała ciągle: zakres jej działania rozszerzał coraz bardziej: potrzeba jej było więcej, niż dawniej pomocy nadzwyczajnych. Pomocy tych darmo szukała w Kościele: Kościół nie mógł ich dać, bo sam przestał je odbierać, przestał stykać się z niebem.

Odtąd więc duchy śmielsze, odważniejsze, poczęły same dobijać się tego poza Kościołem; bądź szukając królestwa niebieskiego, bądź usiłując zrealizować je na ziemi. Luter i Kartezjusz, Swedenborg, Saint-Martin i Fourier, Mirabeau i Danton, ludzie rozumowi, albo ludzie czynu, całe swoje życie poświęcali tej pracy. Podobni oni byli tym zuchwałym żeglarzom normandzkim, temu Janowi Polakowi, tym majtkom z Dieppu, co daleko pierwej przed Kolumbem, jedni, jako zbójcy morscy, drudzy, jako handlarze, wiedzeni żądzą zysku albo sławy, puszczali się na odkrycie drugiej połowy świata, której byt ciągle przeczuwano wówczas. Kolumb sam jeden potrafił ją znaleźć i pokazać do niej drogę. On jeden tylko łączył w sobie rzadkie przymioty, konieczne w wodzu wyprawy duchowej: czystość chęci, siłę, odwagę i wytrwałość. Wiadomo już teraz, że jedyną pobudką jego przedsięwzięcia było dostarczyć chrześćjaństwu przez odkrycie Nowego Świata środków odzyskania Ziemi Święt-

tej. Z tego względu był on ostatnim człowiekiem wieków średnich, ostatnim rycerzem krzyżowym. Opatrzność pobłogosławiła jego zamiarom. Ślady jego poprzedników niknęły zaraz na powierzchni morza, ale pręga, którą wyrył okręt Kolumba pozostała wiecznie na oceanie, jak kolej żelazna; statki wszystkich krajów ziemi biegają po niej.

Tak tedy podania starożytne żeglarzy fenickich i greckich zostały stwierdzone i wytłumaczone. Odkrycia wieków średnich rozszerzyły się i uzupełniły. Podróże morskie miały odtąd cel i szlak wytknięty. Znoszenia się między dwoma półkulami weszły w karb porządny i stały.

To, panowie, historja symboliczna usiłowań duchów, zamkniętych w połowie świata widomej, w materji — jednem słowem, a tęskniących do styczności z połową jego niewidomą, z niebem. Chrystus Pan pokazał, jak się do niej dostać, i jak stosunki z nią utrzymać. Ludzkość brała jego naukę, nie biorąc na się jego pracy. Królestwo, opowiadane w ewangielji, stało się rzeczą powieściową, podobną do podań Scyllaksa i Nearcha. Rozum zastanawiał się nad cudami, duch wzbraniał się wytężeń, zdolnych wydawać cuda.

A jednakże Bóg nie opuszcza ziemi, atmosfera niebieska wywiera ciągle parcie zbawienne na dusze ludzkie, usiłuje przedrzeć się w ich wnętrza, potrąca je, porusza, budzi do pracy

dociskiem, wabi ku sobie nadziejami. Duchy najsilniejsze, najczystsze, najwięcej mające ruchu, są najbardziej usposobione do odbierania tego wpływu, są najbliższe źródła zjawisk duchowych cudów.

Ze wszystkich ludzi epoki przeszłej Napoleon był najcudowniejszym. Ludy zgadywały czuciem, że ten człowiek odbywał pracę wewnętrzną, jakiej nie znali ni księża, ni papież, że sięgał dalej w tajniki niebieskie, niżeli Kościół urzędowy, a zatem, że mógł dopomódz ludom zbliżyć się do krainy siły i szczęśliwości, do Królestwa ewangielicznego, krótko mówiąc, do nieba.

Pojęto, że tak pracować, było to prowadzić dalej dzieło Chrystusa. Prowadzić dalej nie jestto naśladować. Pojęto, że dla prowadzenia dalej dzieła Chrystusowego, nie dość było robić, jak księża robili, nie dość było nauczać, gadać kazania o Bogu, pokazywać Boga symbolicznie — trzeba było czynów. Żeby dowieść, że jesteśmy z Bogiem, niemasz innego sposobu, jak stać się wyższymi od synów ziemi; przekonać, żeśmy silniejsi, mędrsi od nich, że dobyliśmy nawet ziemię, jedyne pole ich działania, mamy moc ją ogarnąć, ścisnąć w dłoni i podnieść. Duch człowieczy jest synem tego Boga, który panuje nietylko w niebie, ale i na ziemi. Duch powinien opanować ziemię.

Napoleon widział nadzieje tajemne swojego

czasu, podpierał je, torował drogę do ich zrealizowania, ale sam nie zrealizował. Uległ przeciwnościom. Zapóźno dopiero poznał on tajemnice tych pokus duchowych, nad któremi robił tak przedziwne uwagi w swoich dyktowaniach na wyspie Ś-tej Heleny. Przytaczaliśmy już niektóre z tych słów jego: dają one nam poznać nadzwyczajny stan człowieka, mającego na sobie posłannictwo.

Ewangielja powiada, że Zbawiciel pierwej, nim zaczął działać na ludzi, długo musiał toczyć walkę z potęgami niewidomemi, to jest z tem, coby, wyrażając się językiem świata, można nazwać podszeptami pychy, drgnięciami żądzy wyniesienia się, pociągami do władzy doczesnej, walkę daleko niebezpieczniejszą dla ducha, niżeli wszelkie jego starcie się z ziemią. Zbawiciel wyszedł z tej walki zwycięzcą. „Jezus Chrystus nie był człowiekiem — mówił Napoleon — Jezus Chrystus mógłby opanować Jerozolimę, mógłby był zagarnąć władzę królewską“. Napoleon wiedział dobrze, co mówił. — Ani wątpić o tem, Bóg-Człowiek mógł zostać arcykapłanem jerozolimskim. Jego świątobliwość ludzka może mu to i radziła, ale jego boskość znała, że Duch Boży w arcykapłanie żydowskim, podsyciłby tylko dumę kasty kapłańskiej i rodu żydowskiego. Syn człowieczy nie powinien był należeć do kasty zarozumiałej, ani do narodowości wyłącznej.

Pozwolę teraz sobie nawzajem dodać moje uwagi do słów więźnia wyspy Ś-tej Heleny. Pokusy, o których on mówi, mogły być jeszcze daleko potężniejsze. Zbawiciel żył w czasach, kiedy berło całego świata znajdowało się w ręku prostego żołnierza rzymskiego, kiedy tytuł cesarza uważano w mniemaniu publicznem za nagrodę, po jaką mógł sięgać każdy obywatel rzymski, każdy człowiek z gienjuszem. Żydzi otrzymywali łatwo obywatelstwo rzymskie; największy gienjusz był pośród Żydów; apoteoza mogła prędko nastąpić. Ale ludzkość coby zyskała na tej apoteozie? Syn człowieczy powinien był dowieść światu, że, aby opanować glob ziemski, nie trzeba na to być cesarzem, ani nawet obywatelem Rzymu.

Tego zrozumieć nie dano było Napoleonowi. Zdobywszy wszystko swoim gienjuszem, nie pojął, że ten sam gienjusz był dostateczny do utrzymania wszystkiego: stał się tedy synem ziemi i opuścił swoje posłannictwo.

Ludzie zmieniają się i upadają, ale Myśl Boża, raz poczęta na ziemi, musi być bez przerwy doprowadzona do końca; skoro jeden gienjusz powołany do służby upada, drugi następuje na jego miejsce. W wielkich epokach niemasz bezkrólewi duchowych, dlatego nazywają się one epokami wielkiemi. Nasza epoka jest wielką. Człowiek przeznaczenia musi mieć swego następcę duchowego. *(K. IV. 14).*

III.

POLSKA TEGOCZESNA.

Listy i przemówienia. I. str. 23—26.

Przemówienie na posiedzeniu Towarzystwa Historyczno-literackiego[1]). Paryż, 3 maja 1842 r.

NADESZŁY INNE CZASY.

Nie jest naszem głównem powołaniem dawać krajowi rady i nauki; nie po to nas kraj posłał, nie tego od nas potrzebuje. Długoż będziemy, pisząc i radząc, czekali, aż pomrzemy wszyscy? Tylu też już żegnaliśmy mowami naszemi, a mowy te były tak żałobne, tak czarne, jak gdybyśmy odprowadzali ojczyznę, i z nią samą szli do grobu. Dosyć zamykać się w przeszłości, stawić twierdze w piersiach swoich; nadeszły inne czasy; trzeba wszystko zdjąć z siebie, rozkryć, nagą pokazać duszę i w niej wszystko znaleźć; bo wiedzcie, że już nic nie macie; imię, zaszczyty, dostojeństwa, zdarte z was dawno i daleko precz

[1]) *Dziennik narodowy* z d. 7 maja 1842 r., podając tekst tu przytoczony, poprzedza go następującą uwagą: Głos tak wielkiego natchnienia, wylany jednym ciągiem, z potężną siłą słowa, zbieramy w treść z pamięci, nie obiecując czytelnikom naszym podać go ani w nierozerwalnej całości, ani we właściwym blasku wyrażeń.

(przyp. Wład. Mickiewicza).

odrzucone. Nie pytajmy, co się dzieje w kraju. Niech każdy, wstawszy rano, kiedy po niebie i po ziemi patrzy ze smutkiem, wzniesie swego ducha i przysłucha się własnemu uczuciu, a wtenczas niebo i ziemia mu odpowie, jaki tam ucisk, jaka tęsknota i boleść. Nieprzyjaciel rozdarł pierś narodu, włożył w nią palce, całą garścią wziął za każde polskie serce i patrzy ci w oczy, a byle dostrzegł najmniejszą myśl, najmniejsze poruszenie podejrzane, ściśnie dłoń i zdusi życie.

Rozprawialiśmy wiele o historji, niekiedy mieliśmy przeczucie. Nie nazywajcie mnie krytykiem, ale wieszczem; przyznaję się do tego charakteru, gdyż dzisiaj byłoby dla mnie zaniechaniem obowiązków, byłoby zbrodnią odrzucać go przez jakąś skromność, przez jakiekolwiek względy. Ale któż z nas nie jest wieszczem? Każdy, kto słowem, piórem, czynem, służył świętej sprawie, był wieszczem, był urzędnikiem w powołaniu narodowem, miał przeczucie tego, co się stać powinno. Zaprawdę, powiadam wam, iż zbliżyły się czasy. I oto w tej chwili składam — spełniam część mojego urzędu. Staję tu na świadectwo między wami, że przyszło wielkie miłosierdzie boże; przyszedł czas zmartwychwstania ojczyzny. Te słowa nie odstąpią was, choćbyście je odpychali, będą zawsze świadczyły, że były wam powiedziane, nigdy ich nie zdołacie zapomnieć. Przysięgam wam, bracia, na

śmiertelnem łożu przypomną się wam i nie dadzą pokoju.

Powtórzę wam z apostołem, mówiącym do Żydów: czekaliście Mesjasza, a Mesjasz był między wami. Powiem, jak w Ewangielji, o niewiastach galilejskich, co przyszły szukać Chrystusa w grobie: kogo szukacie? Chrystus powstał. Wstała z martwych ojczyzna nasza i jest pośród nas.

Chcecie ją widzieć? Nie przyjdzie ona do was, zamkniętych u siebie; nie wlezie wam przez drzwi; nie napłynie wam rurami, jak powódź prawdy, wezbranej do wysokości okien waszych. Trzeba się podnieść duchem aż do niej.

Nie szukajcie jej w niebie, ani na ziemi, ludzie rady i ludzie czynu, zapytajcie was samych, gdzie jest, zejdźcie do głębi duszy waszej, natężcie ducha wewnętrzną pracą, a ujrzycie ją, okaże się wam zstępująca, biała i czysta, jak gołębica, błoga zwiastunka przyszłych losów waszych.

Odzywam się do was, bo wszyscy jesteście wieszczami, wszyscy powinniście byli to przeczuć. Ten, co nic nie mówiąc, bił się za ojczyznę, w milczeniu pierś swoją nadsłaniał nieprzyjacielskim działom, przeczuł ją, był pierwej wieszczem. Tak jest z wyroków Opatrzności i długo byłoby to wam tłumaczyć. Rzadki jest moment, w którym pozwolono wieszczom zupeł-

nie się wywnętrzyć, ducha swojego, przybierającego pierwej różne formy, nago niejako okazać. Dzisiejsza chwila jest taką.

Nie oglądajmy się na nic, odrzućmy wszelkie względy. Niemasz między nami różnicy wieku, zaszczytów, urodzenia, bogactw: wszyscy jesteśmy równi, bo na wszystkich położone jedno namaszczenie.

Do wieszczów należy przodkować braciom, wskazywać narodów drogi, ale dziś nie dość na tem, trzeba przeczucie w czyn zamienić, tak wyrobić swego ducha, żeby jego natchnienie było czynem. Odtąd ujrzycie mię zawsze tam, gdzie was prowadzić będę, pierś własną nadstawiając. Przyszedł czas, że natchnienie musi być czynem, a czyn natchnieniem, bo w dziele Bożem, jak w piorunie, uderzenie jest jedno, między błyskawicą, a ciosem niemasz rozdziału.

L. i P. I. Str. 83—84.

Z przemówienia A. M-a, na posiedzeniu Towarzystwa Historyczno-literackiego [1]). Paryż, 3 maja 1843.

TERAŹNIEJSZOŚĆ ODZYWA SIĘ GŁOSEM PRZEZNACZEŃ.

...Jak pojedyńczy człowiek zapiera się niekiedy samego siebie, wyrzeka się swojego powo-

---

[1]) Spisane z pamięci (Przyp. Wład. Mick.).

łania i przeznaczenia, tak i inne narody, tak i Polska nie chciała być sobą, zaparła się siebie, wolała naśladować, gdyż łatwiej naśladować, niż być sobą.

...Bóg rządzi narodami, a jak wódz najwyższy, rozkazujący duchom narodów, tak Polskę przycisnął, żeby z niej dobyć sił ostatnich.

Wszystkie cierpienia i katusze, wszystkie jęki, łzy i krew miljonów ludzi, są niczem w porównaniu z tem, co się znajduje w tym jednym wyrazie: P o l e, P o l a k, P a l a k! O, gdybyście, odrodziwszy się w duchu, tak jęknąć mogli!

...Na cóżby się przydało burzyć świat cały, bez tego zburzenia bowiem nie będzie Polski, gdyby miał być na globie przywrócony jeden drobny naród na wzór innych.

Nic trudniejszego, bracia, jak zrozumieć t e r a ź n i e j s z o ś ć, żyjemy w wielkiej teraźniejszości, wśród wielkiej zagadki.

L. i P. I. Str. 83.

Słowa Brata Adama do Braci zgromadzonych na St. Charles. 3 kwietnia 1847, w Wielką Sobotę, o g. 8 r.

GRZECHÓW ODPUSZCZENIE.

...Największem zdobyciem byłoby, gdybyśmy zdołali otrzymać łaskę, któraby dała sankcję kapłaństwu pomiędzy nami. Bez tej łaski nie wrócimy do Polski. Powiedziano: „Szukajcie

królestwa Bożego, a reszta wszystko będzie wam przydane". Otóż, póki nie znajdziemy tego królestwa w duchu, nie będziemy mieli i jego reszty, jego przydatku na ziemi. Żeby tak wielką łaskę jeden człowiek mógł zdobyć, może to jest zbyt trudno, ja przynajmniej podobieństwa nie widzę. Módlmy się, pracujmy, wołajmy wszyscy, aby Bóg dał nam, wskazał kapłana, czy ten jest pomiędzy nami, czy go mamy mieć z poza nas, ale opatrzonego tą sankcją, bez której nic od świata nie może być przyjęte.

...Sama spowiedź zaczepia o to zadanie. Chrystus podał praktycznie to lekarstwo, nauczył, że wyjawienie grzechu drugiemu zabije złe, będące w duchu, wyrzuca je precz i goi ranę; ale jest to tajemnica niedostępna rozumowi. Grzech wyjawiony, jak korzeń ziela, wydobyty z ziemi, skoro nań promień słońca padnie, traci życie i usycha, już nie odrasta. Czemu tak jest, nie wiemy; ale Kościół na tem stoi. Kościół stoi nie naukami księży, tylko tem, że się w nim grzechy ludzkie kończą wyjawieniem i rozgrzeszeniem.

L. i P. II. Str. 97.

Słowa A. M-a, o południu do braci, zgromadzonych na St. Charles, 27 września 1847 r.

NUTA PIEŚNI.

...Kiedy byłem u wód, w śnie nadzwyczajnym była mi dana przestroga. Przyjaciel mój,

który nawet nie jest w kole, we śnie przyszedł mię pocieszać. Wiele narodowych pieśni mi śpiewał, a szczególniej pieśń jedną, — tej muzyki szczęty zachowałem w mojej pamięci i strof kilka słów zapamiętałem. Widziałem wielu emigrantów, i objawiłem chęć, czemu jednej pieśni razem nie śpiewamy. Wtedy mój przyjaciel przybrał twarz poważną i surową, głosem pewnym i uroczystym przemówił do mnie słowa, po których zaraz się obudziłem.

A te słowa są: „Nutę pieśni im dawajcie, ale słów pieśni, broń was, Boże, im dawać, — chyba tym, którzy tę nutę śpiewają i razem z wami, tańczyć będą. Kto na nutę nie odpowiada, temu słów nie dawać!"

Dzieła. Tom VIII. Str. 18.

Z odezwy „Do Rodaków", Medjolan, 10 maja 1848 r.

STARZY I MŁODZI.

Nie wedle lat emigrantów braci na starych i młodych rozdzielamy. Oni sami rozdzielają się i rozdzielą. Cechą starości jest nieufność, jest pycha... jest oglądanie się na zewnątrz, jest dążenie do spoczynku, do próżniactwa, do próżnej mowy, do durzenia się nadziejami, które odwodzą od czynu. Do tych wad zwyczajnych starości wszelkiej, dołożyć wadę starej Polski, ufność w obcych, pochlebstwo obcym, a względem swo-

ich uczucie, o którem pisać nie mamy potrzeby. Nakoniec i to dziwne urojenie, że, robiąc coś dla ojczyzny, robimy komuś łaskę?

Wedle tego, szanowni, osądźcie, kto do starej, kto do nowej emigracji należy.

L. i P. I. Str. 222.

Słowa A. M-a, w Wielką Środę, 19 marca 1845 r.

WIARA CHŁOPSKA.

...W tych dniach wielkich pamiątek dnia sławnego zwycięstwa nad ziemią przez Chrystusa, podnieśmy, — jak Kościół w ofierze Mszy świętej mówi, — podnieśmy ducha naszego, i w tem usposobieniu niech każdy z nas pójdzie w Wielki Czwartek do kościoła, w czuciu i prostocie chłopa polskiego, który, dotknięty chorobą, bosonóż na kulach idzie na odpust, z tą wiarą, że zdrów do domu wróci. Może my wiele zrobiliśmy, ja nie wiem, może my mamy wielkie zasługi, ale jakkolwiek byśmy stali wysoko, chłop nasz jest od nas większy przed Bogiem, jemu jest więcej wiadomych tajemnic Pańskich; bo taką wiarę w ojca może tylko mieć syn, co na jego piersiach spoczywa.

L. i P. II. Str. 68.

Słowa Brata Adama z d. 27 lutego 1847 r.

DOPOMNIENIE SIĘ O CHRYSTUSA.

...Mistrz przyszedł dopomnieć się o to, co Chrystus światu przekazał. A gdzież to jest dziś na ziemi? Niemasz tego w zdeptanej Polsce, niemasz w Rosji. Wszędzie tam usłyszysz tylko jęk i skargi w pieśniach, w poezji, posyłane gdzieś do księżyca, do nieba, a na ziemi ucisk i cierpienie. Te same kwestje, które są przedmiotem prac naszych, obchodzą miljony ludu Słowiańskiego: kapłaństwo i rodzina zajmują niezliczone sekty rosyjskie; trzy części gminnych pieśni naszych brzmi narzekaniem na mus w małżeństwie, na niewolę w związku z n i e l u b e m. Wszystkie dzisiaj romanse, teatry francuskie wielbią cnotę, ale zawsze ją wystawiają w nędzy i prześladowaniu. Podobnie i pan polski chwali, uwielbia poczciwość swojego chłopka, ale cóż z nim robi? Takie pochwały są najdotkliwszem urągowiskiem. Nie dziw, że nakoniec uwielbiany a gnębiony porwie się do siekiery.

L. i P. I. Str. 176.

Ustne objaśnienia A. M-a (1843?).

CZYN I WALKA.

...Wszystkie duchy święte nie wypędzą jednego człowieka z ziemi. Cudem się nic nie dzieje.

Ale zło boi się ducha czystego, przez ciało przeprowadzonego. Stając tylko duchem przeciw złemu, nie zbiją go; muszą ducha przeprowadzić przez ciało, wydać go w słowie, w czynie, w walce.

...Nie dość w duchu być wielkim człowiekiem. Nie nazywamy wielkim świętego Franciszka, a wedle ziemi wielki jest Dżengis-Chan; otóż trzeba żeby taki wielki Duch, jak świętego Franciszka, miał na ziemi taką wielkość, jak Dżengis-Chan.

L. i P. Str. 195.

Z przemówienia A. M., 21 listopada 1844 r.

Nierealizacja jest to grzech epoki dzisiejszej: kto wyższy, kto bliższy prawdy, ten unika realizacji, i takich szatan albo pakuje w klasztor, albo puszcza na marzenia.

L. i P. I. Str. 68—69.

Przemówienie A. M-a (1842?).

POKORNE LENISTWO DUCHA.

Dzisiejsze życie już nie wystarcza. Jezuici, naprzykład, są cnotliwsi od wielu ludzi: modlą się, dają jałmużnę, zachęcają do rezygnacji, a wszelki ruch Ducha tępią i szerzą lenistwo duszy, a to jest grzechem i śmiercią; sama taka

cnota dziś grzechem, i dlatego też oni stracili wpływ, znaczenie w ludzkości. Chrystus, stawiając Chrześćjaństwo, zalecił pokorę, poddanie się, a nie spuszczanie z tonu.

Dadzą ci w policzek, mówił, nadstaw drugi; wezmą ci rękaw, oddaj płaszcz, a nigdy i nigdy nie ustępuj z tonu ducha, wytrwaniem złe zwyciężaj. I pierwotni chrześćjanie pełnili to szczerze, w prawdzie, lecz wkrótce potem pełnić to zaczęto bez ofiary chrześćjańskiej, przez lenistwo ducha, w końcu przez podłość. Tak Polska dała się bić, katować, urwano jej rękaw, oddała i płaszcz, aż też i całą zabrano. Do tego już przyszło, iż w prywatnem życiu nawet mówimy: to poczciwy człowiek, można go zelżyć, nie wyzwie na pojedynek, to dobry człowiek, można mu nie oddać, i łatwiej jest nie odbierać od dłużnika, jak się u niego upomnieć. Dziś taka rezygnacja, pokora, zamknięcie się w sobie, są grzechem. Stawiaj się tem, czem wart jesteś, a korz się przed Bogiem.

L. i P. I. Str. 95.

Z przemówienia A. M-a. Paryż, 2 i 6 lipca 1843 r.

UKOCHANIE NIEPRZYJACIELA.

...Wojsko, idące przeciwko nieprzyjacielowi w najczystszej sprawie, nie otrzyma niebieskiego

błogosławieństwa, jeżeli nie umiłuje wprzód nieprzyjaciela, nie uczci w nim jakiego wyższego przymiotu.

Z przemówienia A. M-a. Paryż, 16 lipca 1843 r.

SŁOWO MOCY.

...Niech słowa wasze będą tej mocy, jaką ma w sobie ziarno, w którem jest nietylko kaliwo i kłos, ale zboże, choćby do zasiania całego globu. A jak ziarna tego wszystkie wody wiosenne, spadające z gór, ożywićby nie zdołały, gdyby w niem wewnątrz nie było wody żywotnej, tak i wy, bracia, nie spodziewajcie się siły zewnętrznej, bez rozgrzania tego życia wewnątrz siebie samych.

Z listu otwartego arcybiskupa Szczęsnego Felińskiego do p. M. Zdziechowskiego, „Świat krakowski“ w n-rze 17, z d. 1 września 1888 r. Słowa A. M-a.

TOROWANIE DROGI.

„Każda wielka idea, rzucona w łono ludzkości, musi się wyrabiać, i w widome wcielać kształty, pracą wszystkich przejmujących ją jednostek, wedle natury indywidualnego ich ducha, inaczej bowiem zostanie idealną, nie wypróbowaną mrzonką. Wiem, że i w tego rodzaju wolnej, a zbiorowej pracy, życiodawcza prawda

nieraz zostanie skaleczoną, lub skoszlawioną, ja sam, mogąc przy najlepszej woli sprowadzić nieraz na manowce, gdyż omylność jest niezbędnym ludzkiej natury atrybutem; ale ja nie potrafię poruszać się niewolniczo, jak automat wśród rozstawionych do koła szklanek, a choćby stłuc niejedną, wolę to, bylem do prawdy niezależną utorował drogę".

L. i P. I.

Z przemówienia A. M-a. Paryż, 1 sierpnia 1843 r., o godzinie 9-ej rano.

OKOLICZNOŚCI.

...Wszystko z siebie wydobywać potrzeba. Powinnyby już u nas przepaść te wyzwy: okoliczności, przypadek. Dawniej nie działo się na ziemi inaczej, jak z zewnętrznych popędów. Powiew dobrych lub złych duchów poruszał masy, zrywano się, robiono rewolucje; nazajutrz nikt już nie wiedział, co dalej począć. Statki nie mogły pływać bez wiatru, stały podczas ciszy; aż przyszła epoka, kiedy wynaleziono parę, i każdy statek może mieć siłę w sobie samym, może płynąć podczas ciszy i przeciw wiatrom. Tak i my musimy płynąć, chociaż taka cisza na świecie, a nieraz wśród powszechnej burzy może będziemy stali na kotwicy.

Dzieła. Tom VIII. Str. 74—575.

Z listu do pani Konstancji Wodpol, 1851 r.

TRZEBA MIEĆ CEL ZAWSZE.

...„Cieszę się, że masz się lepiej, a ciągle jedno ci śpiewam i proszę, żebyś o tem ciągle pamiętała, że twoje zdrowie najwięcej zależy od ciebie, od twego wewnętrznego życia. — Ale to wewnętrzne życie nie zależy na tem, żeby wiele myśli przepędzać przez głowę i plątać się różnemi zamiarami. Trzeba mieć cel zawsze. Tym celem jest dla ciebie podniesienie się do żywej wiary, że wszystko, co się nam zdarza, jest na nasze dobro, że będzie lepiej na świecie, i że my do tego lepszego musimy w naszej cząstce przyczynić się. Wszelki kłopot i bieda po to dane, żeby je zwyciężyć. Uciec na nic się nie przyda, jest to to samo, co broń złożywszy, emigrować. Zwycięstwo, o którem mówię, nie w tem jest, aby rozsądzać się, odeprzeć kłopot gniewem, albo odsunąć go, jako zadanie trudne do rozwiązania. Staraj się o to, żeby wszelką biedę tak rozważyć, jak interes, i postanowić z góry, w jaki sposób postawić się ma.

...Pamiętaj, że kto przegrał, zawsze winien. Jeśli nam nie wiedzie się, powinniśmy dochodzić naprzód, o ile my sami temu przyczyną. A potem dopiero zewnętrzne okoliczności rozważajmy. Ty, kochana pani, urodziłaś się

w czasie i w społeczeństwie, które nie miały innego celu, tylko przepodróżować życie, ile można wygodniej. Ku temuś była wychowana. Mając w duszy czucia żywsze i instynkty wyższego, lepszego, porywałaś się i upadałaś, błąkałaś się. Więc nie trzeba przeszłością trapić się nadto, ale należy koniecznie wciąż je rozbierać, aby dojrzeć, gdzie, jaki błąd lub występek wyszedł, z jakiego niedostatku, lub złej woli. Podobna rozwaga, godząc nas z Opatrzności zrządzeniem, uspakaja nas, a razem daje siłę. Wtenczas zapomnisz o wielu drobnych troskach, mając na celu jedno to: aby w czemś ku dobru wspólnemu przyczynić się, a jeźli to nam niejedno, to przynajmniej korzystać o tyle z życia, aby z czemś lepszem i wyższem zejść ze świata. Bo po tem życiu taką nam dadzą ojczyznę i rodzinę, na jaką zasłużymy“.

Dzieła. Tom VII. Str. 289.

Z rozmowy, spisanej przez pułkownika Kamieńskiego, z dnia 6 sierpnia 1844 r.

BÓG W WARSZAWIE WIĘCEJ ZNACZY OD PASZKIEWICZA.

„Tego dnia przyprowadziłem do Adama panią X., świeżo przybyłą z Warszawy. Żaliła się ona nad rodzinnemi swemi nieszczęściami, a szcze-

gólniej ubolewała nad samobójstwem własnego swojego brata. Adam rzekł na to:

„Zobacz i poznaj Pani, że temu wszystkiemu winien jest ten świat, w którym byłaś wychowaną, jest on przyczyną wszystkiego u nas złego, a nawet i upadku samej Polski. Był to wzór do naśladowania, jakiście i niższym klasom społeczeństwa stawili i z którego byliście dumni. Co mógł, naprzykład, dowiedzieć się od was poczciwy chłop, wzięty do dworu za lokaja? Oto słyszał, że panowie i panie rozmawiali tylko: ci o polowaniach, psach, koniach, pojazdach; te o wodach, czepkach, sukniach i nowych romansach, a przedewszystkim o Paszkiewiczu, co on robi? na jaką jejmość czułem spojrzał okiem? bo ta łaska stanowiła, że ta jejmość patrzyła z góry już i na większą od siebie panią. Dopóki nie przyjdziecie do tego przekonania, że Bóg w Warszawie więcej znaczy od Paszkiewicza, nic się nie zrobi; na tem właściwie i zbawienie nasze zależy. Wierzaj mi, pani, że u was i Bóg bywa modą paryską, a religja grą towarzyską, w którą się bawicie. I to jest powodem, że wielu młodych ludzi, widząc czczość i próżnię około siebie, tęsknią i nudzą się, i jedni odbierają sobie życie, a drudzy rzucają się w pijaństwo i rozpustę“.

Dzieła. Tom VI. Str. 196.

Z artykułu p. t. Orleanizm. Trybuna ludów z maja 1849 r.

WIELE TO PRZYNOSI.

W całych dziejach ludzkości znajduje się zawsze grupa ludzi, którą ciągle się spotyka. W starożytnym Rzymie, jak w Atenach, w dawnych czasach, jak w dzisiejszych, są oni czynnymi wszędzie, tylko gdzie bije serce narodowemi czuciami. Nie uczyli się oni historji, nie wiedzą nawet, że mieli poprzedników, a tymczasem wszyscy tak działają, jak gdyby byli członkami jednego stowarzyszenia, najzręczniej uorganizowanego.

Nie gadali oni nigdy z sobą, a mimo tego wyznają oni wszyscy jeden dogmat: nienawiść ku każdemu ruchowi moralnemu. Nie znają się między sobą, a przecież w głębi ich serca odzywa się zawsze ten sam instynkt dla odparcia każdej myśli szlachetnej.

Skąd są oni i skąd przychodzą? Kto był ich mistrzem? Nikt tego nie wie. A jednakże można śmiało powiedzieć, bez najmniejszego zaprzeczenia, faktami, że jeżeli ktoś się odezwie o religijnym postępie, zamkną mu usta w imieniu religji. Jeżeli się obudzi jaka kwestja narodowa, powstaną przeciw niej, a kiedy ktoś się pojawi z myślą udoskonalenia towarzyskiego, znajdzie ich na swej drodze.

Powtarzamy, że ci ludzie nie od dzisiaj tak postępują, ale od niepamiętnych czasów. Są nieporuszonymi, nie zmieniają się wcale. Datują oni od początku ludzkiego społeczeństwa, towarzyszyli mu we wszystkich jego przeobrażeniach i towarzyszyć będą najpewniej aż do końca jego istnienia.

Jakiż jest powód, który w ruch wprawia tyle indywidualności? Jestto egoizm, który we wszystkich znajduje się sercach, a który może być pokonany przez wielki tylko wysiłek człowieka. Wielu takiego zwycięztwa nie jest w stanie odnieść nad sobą.

Ludzie, oddani egoizmowi, łatwo poznają się między sobą. Mają oni swoje hasło, którego nikt ich nie nauczył, a które znają dobrze. Hasłem tem są słowa: co to przynosi? Oto jest pytanie, które zadają każdemu, który ich wzywa, aby jakiś akt woli uczynili na zewnątrz.

Nieprzyjaciel zbliża się ku naszym granicom, lud jest w nędzy, trzeba odeprzeć nieprzyjaciela, trzeba ulżyć ludowi. Na te wszystkie wyzywy patrjotyzmu lub ludzkości odpowiadają zawsze zimnem i spokojnem zapytaniem: „wiele to przynosi?"

Nikt nie może sformułować projektu, żadna zmiana w prawie nie może być przedstawioną, aby natychmiast się ludzie nie pokusili wstrzy-

mać ten ruch i postęp wszelki zwykłem zapytaniem swojem.

W łonie każdego narodu chowa się podobny trąd egoizmu, skupiony w kilku ludziach.

Dzieła. Tom VI. Str. 158—169.

Trybuna ludów z d. 15 kwietnia 1849 roku. Z artykułu p. t. Socyalizm.

Socjalizm jest wyrazem zupełnie nowym. Kto go utworzył? Nikt nie wie. Najstraszniejsze słowa są zawsze te, których nikt nie ukuł, a które wszyscy powtarzają. W połowie przeszłego wieku rewolucje i rewolucjoniści były neologizmami, jeżeli nie barbaryzmami.

...Stare społeczeństwo czuje się ze wszech miar zaatakowanem. Jeżeli mu na czem nie zbywa, to pewno ani na prokuratorach, ani na żandarmach. Sił brutalnych na swoje usługi ma ono więcej, niż miało państwo rzymskie... Czego mu brakuje, to zasad moralnych, przekonań, idei.

Socjalizm nam współczesny jest wyrażeniem uczucia tak starego, jak świat: poczucia tego, co jeszcze niezupełnem, chybionem, anormalnem, a tem samem tego, co jest nieszczęśliwem w naszem życiu. Uczucie socjalizmu jest to polot ducha naszego ku bardziej błogiemu istnieniu, nie indywidualnemu, lecz wspólnemu i solidarnemu.

Uczucie to objawiło się dzisiaj z większą siłą jak kiedykolwiek, to przyznajemy; jest to nowy zapał, który duchowa natura ludzka zdołała stworzyć w sobie, nowo obudzona namiętność:

...Socjalizm, będąc czemś nowem zupełnie, musi mieć nowe pragnienia, nowe namiętności, niezrozumiałe dla ludzi starego społeczeństwa, jak dążenia młodego człowieka muszą być niezrozumiałemi dla dziecka, również jak dla zdziecinniałego.

Pragnienie i namiętność nie mogą być nigdy samą negacją, owszem są one afirmacją duszy, jak wszystkie stawione zagadnienia, choć nierozwiązane jeszcze, są afirmacją inteligiencji. — Społeczeństwo zagrzebuje się w dogmatach i aksjomatach, a odradza się zadaniami i pragnieniami.

...Uczucie socjalizmu nie stanie się namiętnością, czynem i prawdą, aż się odezwie w duszach ludzi szczerze religijnych i patrjotów. Uczucie religijne i patrjotyczne jest posadą prawdziwego socjalizmu. — Studjowaliśmy mistrzów socjalizmu z uszanowaniem, które się należy wysileniom umysłów szczerze przekonanych i przedsiębiorczych. Bo w każdym porywie ducha i przekonania jest jakaś cząstka objawienia Bożego.

...Czyny dokonywają się w świecie politycznym zapomocą armji, żołnierzy.

Wota są treścią dziennych kwestji, a kwestja dzienna, znajdująca swe rozwiązanie w Zgro-

madzeniu narodowem, jest streszczeniem kwestji europejskiej. Reprezentant ludu, który głos podnosi w imieniu ludu, nie może i nie powinien mieć innego celu, jak słowa swoje doprowadzić do rzeczywistości, uczynić z nich artykuł prawa lub rozkaz dzienny dla wojska.



PB 000 5270-SB